

na

WINNICY

ISSN 2544-8880



Na zdjęciu Zofia Konieczna (obecnie Kotamanidu), fot. Janusz Konieczny

Już w czasach niemieckich Zielona Góra nie była takim samym miastem powiatowym jak na przykład Koźuchów. W 1920 r. została wydzielona z powiatu ziemskiego, odtąd przez dwa lata miastem zarządzał nadburmistrz. Sytuacja się powtórzyła w 1950 r. Ważniejsze jednak było to, co się stało w połowie 1950 r. Wtedy Zielona Góra została siedzibą władz administracyjnych województwa zielonogórskiego. Decyzję polityczną, że w zachodniej części kraju powstaną trzy nowe województwa podjęto w 1948 r. Chodziło przede wszystkim o to, że województwo poznańskie jest obszarowo i ludnościowo za duże. Była propozycja, aby z niego wydzielić województwo lubuskie lub kaliskie. Za lubuskim przemawiała potrzeba organizacji administracji od podstaw, mimo że w Gorzowie istniała Ekspozytura Urzędu Wojewódzkiego Poznańskiego zarządzana przez

wicewojewodę. Autorzy zmian wzięli pod uwagę jednak nie Gorzów, a Zieloną Górę. Gorzów nie miał szansy zostać miastem wojewódzkim ze względu na skrajnie peryferyjne położenie w stosunku do całego obszaru proponowanego regionu administracyjnego (ten sam argument był podstawą przeniesienia siedziby kurii biskupiej z Gorzowa do Zielonej Góry w 1992 r.). Za Zieloną Górą jako stolicą województwa przemawiało przede wszystkim położenie miasta, rozwój przemysłu i układ komunikacyjny.

28 czerwca 1950 r. sejm uchwalił ustawę o zmianach w podziale administracyjnym państwa, tworząc trzy nowe województwa na Ziemiach Odzyskanych, wśród nich zielonogórskie z siedzibą władz w Zielonej Górze.

Więcej na stronach 14-18.



fot. Alicja Błażyńska

Żywe pomniki

1. Dąb węgierski – „Dąb Lubuszan” (*Quercus frainetto* Ten.) – pl. Bohaterów
2. Cis pospolity (*Taxus baccata* L.) – ul. Kopernika
3. Jesion wyniosły (*Fraxinus excelsior* L.) – al. Niepodległości
4. Lipa długoogonkowa (*Tilia petiolaris* DC.) – park Piastowski
5. Platan klonolistny (*Platanus Xhispanica „Acerifolia”*) – Kazimierza Wielkiego
6. Cypryśnik błotny (*Taxodium distichum*) – ul. Mieszka I
7. Kasztan jadalny (*Castanea sativa* Mil.) – ul. Kraljevska
8. Grab pospolity (*Carpinus betulus* L.) – al. Niepodległości

W NUMERZE:

<i>Wokół ratusza</i>	
Żywe pomniki	2
<i>Od redakcji</i>	
Co to było?	3
<i>Natura nad Złotą Łączą</i>	
Czuję potrzebę opowiadania o przyrodzie	4-6
Co nad nami lata	6-8
Biologia w byłej fabryce	9-10
Gdzie dawniej były winnice	11-12
Patriota w nie-pamięci	12
Gość prosto z kosmosu	13
Tam gdzie był las, musiał być las	14
<i>U nas</i>	
Dlaczego niewielkie miasto zostało stolicą województwa	15-18
Od prezydenta do prezydenta	19
<i>Adresy</i>	
Ulica Kościelna 2	20
<i>Zielonogórska nagroda literacka</i>	
Piąta gala Winiarki	21-22
Nagroda główna – wiersze	23
Nominacja – opowiadanie	24-25
Nominacja – wiersze	26
<i>Recenzje i omówienia</i>	
Milczący świadkowie minionych czasów	27
Ludzie pragną kochać i być kochani	28-29
6. Konkurs literacki	29
Z szumnych zapowiedzi pozostało... echo	30-31
Zielonogórska Nagroda Literacka „Winiarka 2020”	31
<i>Prosto z miasta</i>	
Wizerunek „Studiów Zielonogórskich”	32
Od kabaretu Potem wszystko się zaczęło	33-34
<i>Wspomnienia</i>	
Za murami przy łużyckiej	35-36
<i>Ponad słowami</i>	
Klem	37
Z kroniki	37
Listy	38
<i>Po godzinach</i>	
W Palmiarni	39
<i>Gdzie indziej</i>	
Laureaci Nagrody Nobla z lubuską metryką	40

Co to było?

Z punktu widzenia Pawła Budycha z Dąbrówki, Jana Cichego z Nowego Kramska, Feliksa Paździorka z Pszczewa czy Franciszka Taberskiego z Podmokli Wielkich wejście czerwonoarmistów do ich miejscowości w styczniu 1945 roku oznaczało wyzwolenie. Innego zdania byli ci niemieccy mieszkańcy tamtej Zielonej Góry, którzy uciekli z miasta lub zostali wypędzeni/wysiedleni. Od tamtego czasu upłynęło 75 lat i mimo że historycy wiele razy to wyjaśniali, pytanie wraca. Czy było to: zajęcie, odzyskanie, wprowadzenie, wyzwolenie, powrót?

Ta wątpliwość szczególnie stała się głośna po 1990 r. Do drugiej połowy lat siedemdziesiątych 15 lutego o godzinie 14.00 na zielonogórskim pl. Bohaterów zbierali się przedstawiciele zakładów pracy, organizacji i stowarzyszeń, pionierzy i władze miasta. Ich delegacje składały wieńce przy pomniku Braterstwa Broni, jak się wtedy nazywał pomnik Bohaterów (II Wojny Światowej). Wieczorem w Hali Ludowej lub w Lubuskim Teatrze odbywała się akademie z okazji kolejnej rocznicy wyzwolenia Zielonej Góry. Część zielonogórczyków nazywała to powrotem miasta wraz z prastarymi ziemiami piastowskimi do Macierzy. Dopiero kiedy historycy znający język rosyjski dotarli do „Krasnej Zwiazdy” z 15 lutego 1945 r. okazało się, że pododdział 253. Dywizji 21. Korpusu Strzeleckiego Armii Czerwonej zajął miasto dzień wcześniej. Czy o godzinie 14.00, tego nie było w gazecie. Korespondent wojenny napisał, że czerwonoarmiści nacierali „na Zieloną Górę w bardzo trudnych warunkach terenowych i atmosferycznych. Od Nowej Soli do Zielonej Góry droga prowadzi przez gęste lasy i górzyste tereny, które przeciwnik przystosował do obrony. Pogoda była deszczowa. Wylały rzeki, rozmokła gleba”.

Obecnie nadal jest świętowany 14 lutego, tyle że dużo skromniej i jako Dzień Pionierów Zielonej Góry. W tym roku po mszy w konkatedrze jedna delegacja złożyła kwiaty na grobie księdza Michalskiego, druga zaniósła wiązanekę na Stary Rynek, gdzie na ratuszu wisi tablica poświęcona tym, którzy w latach 1945-1946 przyjechali do miasta. Po wszystkim pionierzy i przedstawiciele administracji miejskiej spotkali się w Palmiarni.

6 czerwca odbędzie się jeszcze jedna podobna uroczystość. Wtedy minie 75 lat od dnia, kiedy nastąpiło oficjalne „wprowadzenie w urzędowanie” pierwszego polskiego burmistrza Tomasza Sobkowiaka. Do tego momentu burmistrzem był Niemiec Karl Laube, mianowany przez radzieckiego komendanta wojennego. To święto jest w kalendarzu miejskim od 2005 r., kiedy Rada Miasta uchwaliła Dzień Powrotu Zielonej Góry do Macierzy. Czy będzie obchodzone za kilka lat tak jak obecnie i z udziałem pionierów? Pewnie nie. Za pioniera bowiem uznaje się osobę, która przyjechała do Zielonej Góry w latach 1945-1947 i miała wtedy co najmniej 16 lat. Prawdopodobnie dopiero wówczas, kiedy zabraknie pionierów, zakończy się dyskusja, czy w 1945 r. Zielona Góra została zajęta, odzyskana, wyzwolona.

Alfred Siatecki



Zrealizowano przy pomocy finansowej Miasta Zielona Góra

ISSN 2544-8880

Magazyn Towarzystwa Miłośników Zielonej Góry WINNICA

Adres do korespondencji
65-093 Zielona Góra, ul. Lisia 37
e-mail: tmzg-winnica@o2.pl
www.tmgz.org.pl

Redagują:
Alicja Błażyńska, Alina Polak-Woźniak, Sylwester Woźniak i Alfred Siatecki – redaktor naczelny
Skład i łamanie: Emilia Cwilińska
Projekt winiety: Wacław Serdeczny
Numer zamknięto 29 lutego 2020 r.

na WINNICY



TOWARZYSTWO MIŁOŚNIKÓW ZIELONEJ GÓRY WINNICA

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo skrótów i opracowania redakcyjnego tekstów przyjętych do druku oraz prawo nieodpłatnego publikowania listów. Redakcja zastrzega sobie również możliwość wykorzystania publikowanych materiałów na stronie internetowej TMZG. Za treść zamieszczonych reklam, ogłoszeń, listów i materiałów sponsorowanych redakcja nie odpowiada.

Czuję potrzebę opowiadania o przyrodzie

ROZMOWA Z DR. SEBASTIANEM PILICHOWSKIM Z OGRODU BOTANICZNEGO

– *Tytuł naszej rozmowy mógłby brzmieć: Rozmowa z bio-psycholem.*

– Ja tak o sobie mówię, a od kiedy w „Gazecie Rawickiej” ukazał się wywiad ze mną pod takim tytułem, to właściwie zostało to usankcjonowane. Przyrodę stawiam wysoko, ale też mam w sobie od dziecka natręctwo szukania „za” i „przeciw”. Przyroda i kosmos to dla mnie synonimy. Smutne jest to, że więcej wiemy o dalekim kosmosie, a prawie nic o rowach oceanicznych. Potrafimy pokonać opór termiczny atmosfery, a ciśnienia wody nie. Narzucone ramy pracy od siódmej do piętnastej sprawiają, że wszystko staje się rutynowe, a to zabija nie tylko kreatywność, ale i istotę człowieka. Nie lubię rutyny, jestem bardzo aktywny. Nie widzę różnicy między poniedziałkiem a niedzielą, pracuję cały czas, odpowiadam na maile i telefony. Staram się angażować w ochronę przyrody, najczęściej są to działania wynikające z poczucia obowiązku. Myślę o wydaniu kilku książek, nad częścią pracuję, a część tkwi w mojej głowie.

– *A doktorat?*

– Doktorat zrobiłem, bo uważałem, że to naturalna kolej rzeczy w nauce. Stopień naukowy daje mi szersze możliwości występowania o granty badawcze. Jednak w moim podejściu do przyrody nic on nie zmienia. Właściwie gdy słyszę, jak ktoś zwraca się do mnie „panie doktorze”, to mam ból wątroby. Jestem na to uczulony, ponieważ wielu zapomniało o swym imieniu i nazwisku kosztem tytułów.

– *Skąd u Pana zainteresowanie biologią?*

– Od małego interesowałem się owadami. Z mamą chodziłem do lasu, z tatą jeździłem na ryby, ale miał piekło ze mną, bo chwilę połowiłem i zaraz zaczynałem biegać. A to złapałem ważkę, a to coś przyciągnęło moją uwagę. Na grzyby też się ze mną nie dało iść, bo zaraz znalazłem jakąś szyszkę albo pajaka i tyle było tego zbierania. Męczyłem się, szukając brązowych kapeluszy. Z dziadkiem oglądaliśmy programy przyrodnicze z satelity, na początku nadawane po angielsku, potem o nich dyskutowaliśmy. Szczególnie o „tych dwóch szajbusach”, jak to zwyk-

dziadek nazywać Steve’a Irwina i Jeffa Corwina. Czytałem też książki i leksykony o gadach, minerałach i oczywiście o owadach. W dzieciństwie miałem duże plany naukowo-badawcze z dziedziny entomologii, ale później się okazało, że akurat dość sporo już zbadano i opisano, tylko ja nie miałem właściwych lektur.

– *A Pana idole z dzieciństwa?*

– David Attenborough [brytyjski biolog, popularyzator wiedzy przyrodniczej, pisarz, narrator i podróżnik – red.]. Mam nadzieję, że będzie żył kolejne 90 lat. On jest niesamowicie sprawny umysłowo, ale to przez podróżowanie, obcowanie z przyrodą, zaangażowanie i cel w życiu. To wzmacnia mentalnie i fizycznie. Podobnie jest przecież z Jane Goodall [brytyjska badaczka w dziedzinie prymatologii, etologii i antropologii; prowadzi badania nad szympanсами – red.], która skończyła 80 lat, a też jest niesamowicie sprawna. Prowadzi fundację, wygłasza wykłady. Najbardziej zawsze czekałem na programy ze Stevem i Jeffem. Obecnie znajduję pewne różnice między ich stylem przedstawiania przyrody a tym preferowanym przeze mnie. Wszystkim polecam dzieło Andrei Wulf „Człowiek, który zrozumiał naturę. Nowy świat Alexandra von Humboldta”. To fantastyczna książka o fantastycznym człowieku, zapomnianym, który 200 lat temu mówił o konsekwencjach tego, co dzieje się teraz. On podłożył podwaliny pod holistyczne postrzeganie przyrody, które praktykuję, od kiedy pamiętam, dlatego zapewne od razu utonąłem w jego postaci. Humboldt był predarwinistą, komentował spostrzeżenia Darwina, który z kolei inspirował się dziełami Humboldta (Humboldt zmarł w maju 1859, a książka Darwina ukazała się w listopadzie tego samego roku). Ponadto intensywnie badał Amerykę Południową (od geologii po faunę i florę), od jego nazwiska nazwano najwięcej obiektów przyrodniczych na tle pozostałych badaczy. Wysyłał statki z okazami roślin i zwierząt do Europy, potem okazy te rozdysponował pomiędzy naukowców, aby jak najwięcej poznać i opisać. Pięknie malował i pisał barwnym językiem, na całym świecie zachwycono

się jego pracami. Wykazał jedność świata przyrody. Każdy nauczyciel przyrody, szkolny i akademicki, powinien znać tę książkę. Obecnie prowadzę zajęcia z biologii i przedmiotów zawodowych w Zespole Szkół Przyrodniczo-Technicznych w Bojanowie i sam się muszę ciągle o dokształcać. Dążę do tego, żeby w klasach wprowadzić biografię Humboldta lub jej fragmenty jako lekturę. Jest to naprawdę opowieść o człowieku, który miał niesamowity wpływ na przyrodoznawstwo i naukę światową. Nie wolno zapominać o naszym „podwórku”, zatem o takich nazwiskach jak Władysław Szafer (1886-1970) czy Władysław Strojny (1923-1992).

– *Czy Pan się odnajduje jako nauczyciel?*

– Lubię pracę z młodzieżą, bo lubię mówić o przyrodzie i czuję taką potrzebę, gdyż nie zgadzam się wewnątrznie na to, co się dzieje, na dewastację środowiska. Nauczyciele powinni angażować się nie tylko w edukację uczniów, lecz i kształtowanie ich postaw. Ciekawość, zdolność do analizy i wyciągania wniosków powinny mieć swe ujście w krytycznej ocenie sytuacji dziejącej się wokół. Jako pracownik Uniwersytetu Zielonogórskiego jestem aktywny w Ogrodzie Botanicznym, w którym prowadzimy ochronę gatunkową. W ogrodzie zajmuje się edukacją, opieką nad kolekcją roślin i prowadzę badania. Mało który ogród botaniczny w Polsce zajmuje się w pierwszym rzędzie roślinami zarodnikowymi, m.in. paprociami, mchami, wątrobowcami. Chciałbym iść w tym kierunku i są do tego poważne przymiarki.

– *Jakie jest bogactwo przyrodnicze, którym może się pochwalić nasza okolica?*

– Jeszcze znaczne, ale ulega zmianom na gorsze. Mieliśmy dąb Napoleon, najgrubszy okaz spośród krajowych dębów szypułkowych, którego zwęglone szczątki można zobaczyć w gminie Zabór (został podpalony w 2010 roku). Na pograniczu z Dolnym Śląskiem rośnie dąb Chrobry, jeżeli nie najstarszy, to jeden z najstarszych dębów szypułkowych w Polsce. Pod Gubinem znajduje się wiąz szypułkowy Wiedźmin, przypuszczalnie najstarszy i najgrubszy okaz w Europie. Blisko Sulechowa



fol. Alicja Błażyńska

SEBASTIAN PILICHOWSKI – odbył studia na Wydziale Nauk Biologicznych Uniwersytetu Zielonogórskiego zakończone doktoratem w 2019 r., pracuje w zielonogórskim Ogrodzie Botanicznym i prowadzi zajęcia w Zespole Szkół Przyrodniczo-Technicznych w Bojanowie, jest gospodarzem bloga „Żywa edukacja”

rosną dwie najgrubsze polskie sosny zwyczajne: Rzepicha i Waligóra, które poświadczają swymi walorami, że sosna jest królową lubuskich lasów. Zauważmy, że te drzewa „naj” są mało znane. Można sądzić, że to je ochroni przed tym, co spotkało dąb Napoleona. Uważam, że incydent z Napoleonem jest bestialstwem zrodzonym z irracjonalnych pobudek. Powinniśmy być może raz na jakiś czas pielgrzymować do takich rekordzistów po to, aby zostać przytłoczonymi ich potęgą. Wtenczas może zrodzi się powszechna potrzeba ochrony dziedzictwa przyrodniczego. Zamknijmy oczy, wyobraźmy sobie pradawną puszcę z Napoleonami, Chrobrymi, Wiedźminami, Rzepichami i Waligórami. Pomiędzy nimi wielkie martwe kłody obrośnięte mchem, tu i tam pyszną się dorodne drzewa, acz potrzebujące jeszcze stuleci, by dogonić olbrzymy. A tam znowu, gdzie stare drzewo ustąpiło miejsca i wpuściło do dna lasu snop światła, wyrasta nowe pokolenie. Powinniśmy dbać o tych świadków dziejów i pozwolić wzrastać ich następcom.

– Czy w Zielonej Górze przybyło pomników przyrody po połączeniu z gminą?

– Znajdziemy wśród nich dwa imponujące dęby o obwodzie pnia powyżej sześciu metrów. Jest też kilka, które przekroczyły pięć metrów, w tym nasza miejska perła – dąb węgierski nazwany dębem Lubuszan na placu Bohaterów. Ciekawie prezentuje się cypryśnik błotny wrastający w ścianę budynku przy ulicy Moniuszki. Uwielbiam buka z lasu w Krępie, któremu z trzech pni zostały dwa (trzeci leży obok) czy dęba Gabryś z Lasu Odrzańskiego o efektywnej koronie. Miło przejść się aleją dębową w Nowym Kisielinie, gdzie rosą okazy o statusie pomnika przyrody. Mamy poważny „zielony kapitał”, marzę, abyśmy go nie zmarnowali.

– Zgadza się Pan z nami, że i ubywa roślinności?

– Tam, gdzie rozwija się osiedle Mazurskie, są wilgotne łąki z krajowymi gatunkami storczyków. Stwierdzono obecność czterech, mówię głośno, ponieważ o tym od lat wiadomo. Wszystkie nasze storczyki są pod ochroną i zagrożone, bo rosą w wielu przypadkach na łąkach, które są osuszane i dewastowane lub są zbierane do ogrodu, co przy braku znajomości ich biologii prowadzi do śmierci roślin. W zeszłym roku na łące przy wspomnianym osiedlu znalazłem tylko jeden gatunek storczyka. Podobny los dotknął storczyki rosące na łąkach, gdzie dziś jest ulica Sopotka. Jeśli dalej tak będzie się osuszać łąki w tamtej okolicy pod zabudowę, to odbije się to negatywnie na parku Poetów, a i zapewne na Wągmostawie. Wszystko przez prace budowlane przy źródłiskach na osiedlu Mazurskim. Ochrona mokradeł nie jest mrzonką, to nie jest ekoterroryzm, to wielka potrzeba, gdyż ludzie nie mogą przetrwać bez wody, a podmokłe tereny to jest właśnie jej rezerwar.

– Czego brakuje w mieście i okolicy, co można by zrobić, żeby ta bioróżnorodność została zachowana?

– Za mało działań prowadzimy na rzecz ochrony mokradeł – ostoi bioróżnorodności, magazynu wody słodkiej i lokalnego klimatyzatora oraz filtru powietrza. Brakuje szacunku do przyrody jako wartości samej w sobie, do jej bogactwa, która nie może zawsze kojarzyć się z zyskiem lub stratą rozumianej przez pryzmat ekonomii. Przede wszystkim brakuje planu, według którego można wydzielić strefy intensywności ingerencji w szeroko rozumianą zieleń, takiego studium bioróżnorodności z inwentaryzacją przyrodniczo-społeczno-historyczno-kulturową.

W mieście o takim zaludnieniu i z tradycjami miasta-ogrodu, w którym zachowało się kilka miejsc przyrodniczo cennych, brakuje dużego zespołu ludzi do spraw ochrony przyrody, ciała doradczego złożonego z ekspertów. Takie ciało powinno funkcjonować niezależnie od miasta, eksperci winni być powoływani na kadencję, niezależnie od przekonań politycznych. Powinna liczyć się wiedza, nauka i fakty. Cieszy mnie, że pojawiła się instytucja ogrodnika miejskiego, choć parę lat temu miał miejsce epizod z powołaniem i szybkim rozwiązaniem Biura Kształtowania Zieleni. Widać zmiany w podejściu do, nazwijmy to ogólnie, trawników. W ramach prewencji nie ścięto buka odmiany Pendula w parku Piastowskim po zniesieniu statusu pomnika przyrody z powodu bardzo złej kondycji zdrowotnej, a obniżono mu tylko koronę. Martwi mnie demagogia, że zostanie rozładowany ruch samochodowy na północy miasta po zbudowaniu obwodnicy południowej, która ma przeciąć Las Piastowski. Tak potężny las w środku miasta, niemal niepofragmentowany, to skarb, o jakim może pomarzyć wiele aglomeracji w Europie. Bolesny jest widok działań w strefie gospodarczej w Nowym Kisielinie, której przeznaczenie rozumiem, nie pojmuję jednak, dlaczego nie jest możliwe pozostawianie pasów drzew między halami. Jeszcze dwa lata temu przy rowie odwadniającym drogę rósł dąb szypułkowy o obwodzie ponad cztery metry.

– Miasto musi się rozwijać.

– Często słyszymy to hasło, które samo w sobie jest puste. Uważam, że miasto musi zdobyć się na odwagę i chęć, aby rozwój przebiegał z poszanowaniem różnych interesów ludzi, ale i z szacunkiem dla dziedzictwa kulturowego i przyrodniczego. Współczesne problemy dotyczące nie tylko ochrony środowiska (np. ochrona powietrza, wody, klimatu), ale i ochrony przyrody (np. przeciwdziałanie wymieraniu gatunków i lokalnych pul genetycznych, zanikaniu siedlisk) powinny stanowić istotne tło dla naszej działalności. Nie bądźmy zachłanni, odstąpmy coś przyrodzie. Ona w zamian odstąpi nam, wszak jesteśmy jej częścią. Nie zaś panami czy sługami. Jeżeli sobie o tym przypomnimy, to jest jeszcze szansa, że nasi następcy będą cieszyć się pięknem i bogactwem przyrody.

– Dziękujemy.

Alicja Błażyńska
i Alina Polak-Woźniak

Paweł Czechowski
Leszek Jerzak

Co nad nami lata

W obecnych granicach miasta do końca 2019 roku odnotowano około 220 gatunków ptaków. Z tej listy w ostatnich 20 latach co najmniej 130 gatunków gniazdowało lub prawdopodobnie gniazdowało. Pozostałe to gatunki przelotne – obserwowane w okresie wędrówek, zimujące i ptaki zalatujące – rzadkie, spotykane sporadycznie.

Początki obserwacji ptaków w Zielonej Górze i najbliższych okolicach sięgają końca XIX wieku. W latach 1876-1910 pracował w gimnazjum przy pl. Słowiańskim prof. Burmeister, który pozostawił po sobie manuskrypt „Verzeichniss der Voegel Grünberg”. Bardzo cennym opracowaniem jest monografia dr. Kurta Gruhla z 1929 r. „Tier und Pflanzenwelt des Kreises Grünberg im Schlesien und seiner naeheren Umgebung”, w której autor szczegółowo omawia stwierdzone tu gatunki ptaków.

Kolejny ornitologiczny etap to przełom lat 70. i 80. XX w., kiedy rozpoczęto regularne zbieranie danych o awifaunie regionów ornitologicznych w Polsce. Wyniki obserwacji prowadzonych przez nielicznych badaczy działających w tamtym okresie w Zielonej Górze, która znajduje się w Śląskim Regionie Ornitologicznym, znalazły się w „Monografii ptaki Śląska”.

W połowie lat 90. XX w. powstało Zielonogórskie Towarzystwo Ornitologiczne przy Lidze Ochrony Przyrody. Od tamtej pory intensywnie zbierane są materiały o ptakach Zielonej Góry i okolic.

NAJCZĘŚCIEJ OBSERWOWANE W MIEŚCIE

Przepiórka i kuropatwa – dwa gatunki związane z krajobrazem rolniczym. W Zielonej Górze występują bardzo nielicznie na polach uprawnych w południowej części miasta w okolicach Ochli, Jeleniowa, Kiełpina, Jarogniewic i na północy – okolice Zawady, Janów. Należą do gatunków zmniejszających liczebność, a głównymi przyczynami są zmiany w rolnictwie (intensyfikacja, chemizacja). W przypadku przepiórki dużym problemem są także polowania na trasie migracji i zimowiskach. Nie

bez znaczenia jest także zwieszająca się zabudowa jednorodzinna, przyczyniająca się do zaniku siedlisk.

Cietrzew jest przedstawicielem ginącego w Polsce kuraka leśnego. Jeszcze w latach 80. XX w. był spotykany w obecnych granicach miast – pojedyncze ptaki występowały pod Ochłą. Na początku XX w. według K. Gruhla cietrzewie miały gniazdować wzdłuż Śląskiej Ochli czy na obniżeniu Odry koło Zawady, ale już wtedy jego liczebność spadała.

Perkoz to jedyny lęgowy w mieście gatunek perkoza. Jest małym, skrytym gatunkiem, który w latach 90. XX w. występował na kilku stanowiskach w mieście (np. Wągmostaw, Cegielnia, stawy na Jędrzychowie, stawy koło byłej WSI, stawy w Ochli). Obecnie wycofał się z wielu stanowisk, a główną przyczyną jest wzmożona rekreacja oraz rewitalizacja zbiorników wodnych.

Gołębie kojarzą się z bardzo licznym w mieście gołębiem miejskim. Jednak obecnie w Zielonej Górze możemy spotkać jeszcze cztery inne gatunki gołębi. Grzywacz, który zwiększa liczebność i możemy go spotkać w wielu środowiskach (potrafi wyprowadzić lęg na balkonie czy parapecie). Sierpówka – gatunek typowo związany z osiedlami ludzkimi, zasiedlił Polskę w latach 50. XX w. Duże noclegowiska tego gołębia znajdują się na drzewach rosnących na deptaku. Siniak i turkawka unikają obszarów zabudowanych i związane są z terenami leśnymi i zadrzewieniami. Warto zaznaczyć, że turkawka należy do gatunków uznawanych za zagrożone wyginięciem w skali globalnej, a sto lat temu K. Gruhl podawał, że turkawka była drugim co do liczebności gołębiem. Spadek liczebności tego gołębia tłumaczy się

zmianami siedlisk lęgowych, stosowaniem herbicydów (ograniczenie zasobów pokarmowych). Duże znaczenie mają także zmiany agrocenoz na zimowiskach oraz polowania w krajach południowej Europy.

Jerzyk jest gatunkiem związanym z siedliskami synantropijnymi (budynkami). W Zielonej Górze spotykany jest zarówno w starej zabudowie, jak i osiedlach z blokami budowanymi w latach 70-80. XX w. Brak go na nowych osiedlach w nowoczesnych budynkach bez szczelin i z pozamykanymi otworami wentylacyjnymi. Rzadziej gniazduje też w przyłączonej do miasta zabudowie wiejskiej. Największym zagrożeniem dla jerzyków jest ubytek miejsc lęgowych, spowodowany remontami budynków, głównie pracami termoizolacyjnymi.

Mewy – chociaż ptaki te kojarzą się z wybrzeżem, zbiornikami wodnymi czy dużymi rzekami, to wprawny obserwator przyrody dostrzeże je na zielonogórskim niebie. Większość obserwacji to przelatujące nad miastem stada lub pojedyncze ptaki, głównie w okresie wędrówek lub zimą. Do tej pory nad miastem zaobserwowano pięć gatunków mew, w tym rzadko widywaną w regionie mewę żółtonogą.

Bocian biały – Zielona Góra kojarzy się z terenami leśnymi, jednak parę par bocianów w obecnych granicach miasta jeszcze jest. Czynne gniazda spotkamy w Krępie, Zawadzie (tu wyraźnie mniej niż w latach 90.), Janach, Nowym Kisielinie, Zatoniu, Kiełpinie i Jarogniewicach. Już jakiś czas nie ma bociana na Jędrzychowie, a od kilku lat przestał gniazdować w Ochli. Liczebność ich spada z powodu zaniku bazy pokarmowej.

W granicach miasta stwierdzono występowanie 18 gatunków ptaków drapieżnych. Najczęściej i najłatwiej zaobserwować można myszołowa, szczególnie na terenach otwartych, często plują albo odpoczywają przy drogach. Unikają jednak zabudowy. W obrębie zabudowy miejskiej gniazduje pustułka, a regularnie poluje, szczególnie w okresie zimowym, krogulec. Rzadziej tereny zabudowane odwiedza jastrząb, a wyjątkowo w Zielonej Górze widywano sokoła wędrownego. Na obrzeżach miasta, w najdalszych, ukrytych zakątkach leśnych gniazdują rzadsze i mniej znane gatunki, np. kania ruda czy



Kawka



Sroka



Pustułka

fot. Paweł Czechowski

trzmiełojad. W okresie wędrówek nad miastem i terenach otwartych spotykano inne gatunki ptaków drapieżnych, np. rybołowa, błotniaka łąkowego, błotniaka zbożowego, myszołowa włochatego czy drzemlika.

Sowy – w historii obserwacji ptaków w Zielonej Górze znane są stwierdzenia sześciu gatunków sów. Puszczyk i uszatka regularnie gniazdują. Najliczniejsza sowa, puszczyk, jest też obecny w Lesie Odrzańskim. Wysoki udział borów sosnowych w zaowocował stwierdzeniami dwóch gatunków sów borealnych – na początku XXI w. stwierdzono pojedynczy łęg włochatki, a ostatnie dwa lata przyniosły stwierdzenia sówecki. W mieście notowano także dwa gatunki sów związanych bardziej z krajobrazem rolniczym. Pójdźka w obszarze miasta podawana była jedynie przez K. Gruhla w roku 1927, w „Monografii ptaki Śląska” znajdziemy informacje o tej sowie z lat 1982-1985. Drugim gatunkiem jest płomykówka, która pod koniec XX w. prawdopodobnie gniazdowała na wieży w Ochli. W późniejszych latach już tylko pojedyncze obserwacje.

Kraskowate i dudek – jedno z bardziej kolorowych ptaków naszego kraju. Kraszka to gatunek wymierający w szybkim

tempie w Polsce. Jak podaje K. Gruhl, gniazdowała w latach 20. XX w. w parku zamkowym w Zatoniu. Później nie notowana, a ostatecznie łęgi w regionie lubuskim stwierdzono na początku lat 80. XX w. Na szczęście inne gatunki z tej grupy możemy nadal obserwować również w Zielonej Górze. Zimorodek jest związany z rzekami i ciekami wodnymi, a w okresie zimowym można go spotkać na zbiornikach wodnych w mieście, np. na Wągmostawie. Dudek preferuje tereny otwarte, kilkanaście par gniazduje w dzielnicach nowego miasta. Tylko wyjątkowo, w okresie wędrówek, spotkano raz w granicach miasta żołą.

W mieście stwierdzono siedem gatunków (sześć lęgowych) **dzięciołów**. Najbardziej rozpowszechnionym i spotykanym w różnych siedliskach (również w zieleni miejskiej i przy karmnikach) jest dzięcioł duży. Największy nasz dzięcioł: czarny związany jest głównie z borami sosnowymi. Trzy gatunki: dzięcioł zielony, dzięciołek i dzięcioł średni preferują lasy liściaste, a królestwem ich, szczególnie dzięcioła średniego jest Las Odrzański. Ciekawym gatunkiem dzięcioła jest kręto-głów (zimujący w Afryce), zasiedlający aleje przydrożne, zadrzewienia i skraje lasów.

KRUKOWATE

Sójka ostatnio przenika do zieleni miejskiej, gdzie gniazduje głównie na drzewach, ale znajdowano także gniazda na budynkach (np. na okiennicy).

Sroka należy do znanych i bardzo dobrze zbadanych ptaków w Zielonej Górze. W drugiej połowie XX w. nastąpił spektakularny wzrost liczebności populacji lęgowej. Na początku lat 70. zagęszczenie wynosiło ok. 7 par/km kw. W 1997 r. liczebność populacji oszacowano na 340 par lęgowych (17 par/km kw.), a w 2001 r. zanotowano rekordową liczebność – 715 par lęgowych (zagęszczenie przekraczające 31 par/km kw.). Oznaczało to, że Zielona Góra należała do miast o najwyższych zagęszczeniach tego gatunku w całej Eurazji. Pod koniec pierwszej dekady XXI w. liczebność populacji sroki w Zielonej Górze oszacowano na 619 par. Uważa się, że zatrzymanie wzrostu i lekki spadek liczebności populacji tego gatunku może mieć związek z coraz większą presją drapieżników, do których należą m.in. wrony, kuny domowe czy wtórnie zdziczałe domowe koty.

Dokładniejsze badania **kawek** prowadzono na wybranych powierzchniach w Zielonej Górze, 2004 i 2012 r. Wykazały one spadek liczebności

kawki. Główną przyczyną tego są prace związane z remontami budynków i prace termomodernizacyjne, które wpływają na zmniejszanie się potencjalnych miejsc do gniazdowania.

Na terenie miasta zimą zimują **gawrony**. Coraz częściej wśród zabudowy obserwowana jest wrona siwa. Regularnie nad miastem przelatują kruki, które gniazdują w pobliskich lasach, również w granicach nowego miasta. Wyjątkowo w Zielonej Górze stwierdzony był czarnowron i orzechówka.

WRÓBLOWE

Pliszka górska to ptak związany z górkami rzekami, ale gniazdujący także nad nizinami bystrzami rzekami. W Zielonej Górze znane było gniazdo w okolicach Cegielni od 1922 r. A w obecnych czasach gniazduje w liczbie do czterech par na małych ciekach, np. w okolicach Wągmostawu, zbiornikach koło Ochli, za osiedlem Zaczysze. Nieregularnie widywana jest także zimą na małych ciekach w mieście.

Krzyżodziób świerkowy ciekawy gatunek ptaka charakteryzujący się okresowymi inwazjami związanymi z dostępnością do bazy pokarmowej (urodzaju szyszek). Po inwazjach może dochodzić do lęgów w miejscach wcześniej niezasiedlonych. Taka sytuacja miała miejsce w Zielonej Górze w latach 2017-2018, kiedy w południowej części miasta (okolice Ochli i Jarogniewic) stwierdzono kilka przypadków lęgu tego gatunku. K. Gruhl podaje w swojej monografii, że krzyżodziób świerkowy miał gniazdować w okolicy Zielonej Góry w XIX w. Dzierlatka – wg K. Gruhla występowała na peryferiach Zielonej Góry, a zimą po pierwszych śniegach pojawiała się wewnątrz miasta. W latach 1995-2003 znanych było 10-11 stanowisk (12-16 par), jednak wiele z tych miejsc miało charakter efemeryczny i obserwowano stopniowe wycofywanie się tego gatunku. W następnych latach nastąpiło załamanie się populacji dzierlatki w Zielonej Górze – w latach 2004-2007 potwierdzono istnienie jedynie trzech stanowisk z pojedynczymi parami. Obecnie znane jest jedno stałe stanowisko (1-2 pary). Głównymi przyczynami zaniku dzierlatki w Zielonej Górze wydają się być: zagospodarowywanie nieużytków, zanik placów budowlanych, rozwój infrastruktury i wzmożony ruch na osiedlach. Nie bez znaczenia wydaje

się być także presja drapieżników (koty, kuny), a także izolacja zielonogórskiej populacji, spowodowana otoczeniem miasta przez lasy i utrudnione przenikanie ptaków z terenów sąsiednich.

Jemiołuszka to gatunek obserwowany jedynie w okresie przelotów i zimą. Najliczniej jemiołuszki obserwowano między 2000 a 2006 r. Zdarzają się sezony, w których brak jest ich obserwacji. Maksymalne obserwowane stado liczyło 500 ptaków. Jemiołuszki w mieście pojawiały się najwcześniej pod koniec października, a ostatnie widywano w pierwszych dniach maja. Rozciągłość sezonu, czyli liczba dni, w których obserwowano jemiołuszki w mieście, wynosiła od 1 do 190 dni. W czasie przebywania w mieście ptaki chętnie żerują na jarzębinach.

Awifauna Zielonej Góry charakteryzuje się dość dużą różnorodnością, co wynika głównie z istnienia różnorodnych siedlisk. Występowanie rozmaitych zespołów leśnych (grądy, dąbrowy, olsy, bory sosnowe, fragmenty łągów) przyczynia się do bogactwa wielu ptaków leśnych (szponiaste, sowy, gołębie, dzięcioły oraz drobnych ptaków wróblowych, np. świstunki, muchołówki, sikory, drozdy). Fragmenty krajobrazu rolniczego oraz tereny otwarte w dolinach rzek (łąki) to cenne siedliska dla wielu ptaków krajobrazu otwartego, np. kura polne, wiele gatunków ptaków wróblowych: pokrzewki, dzierzby, trznadle, łuszczaki. Najmniejszą różnorodnością charakteryzuje się grupa ptaków wodno-błotnych, co wynika z niedużej liczby większych zbiorników wodnych. Jednak istniejące obszary wodne stwarzają jeszcze warunki dla bytowania kilkunastu gatunków ptaków wodnych (np. kaczkę, chruściele).

Z perspektywy zachowania istniejącej różnorodności ptaków w miastach ważna jest ich ochrona, a szczególnie ochrona i odpowiednie użytkowanie siedlisk zajmowanych przez ptaki. Do grupy czynników, które oddziałują negatywnie na całe populacje ptaków, należą zmiany w gospodarce leśnej, rolniczej, wodnej i transporcie. Procesy te przyczyniają się do przekształcania, ubożenia i zanikania wielu siedlisk. Działania najbardziej negatywnie wpływające na ptaki i ich siedliska to: nieprawidłowa gospodarka hydrologiczna

(melioracje, zmiany w stosunkach wodnych, osuszanie łąk pod zabudowę); nastawiona na produkcję drewna gospodarka leśna (zanikanie starodrzewi będących siedliskami wielu ptaków); wycinanie zadrzewień i zakrzewień szczególnie w dolinach rzecznych i w krajobrazie rolniczym; wycinanie/wypalanie trzcinowisk; źle przeprowadzone prace remontowe i termomodernizacje budynków; niezaplanowane z punktu widzenia przyrodniczego rewitalizacje parków, zbiorników wodnych. Inną grupą zagrożeń są wszelkie bezpośrednie działania człowieka: świadome zabijanie ptaków (trucie, nielegalny odstrzał) czy kłusownictwo. Coraz większym zagrożeniem jest wzrost turystyki i rekreacji na obszarach cennych przyrodniczo połączony z niską świadomością przyrodniczą społeczeństwa (nadmierna penetracja, wzmożony ruch kołowy w miejscach wyłączonych z ruchu – tereny leśne, brzegi jezior, międzywale rzek). Kolejnym problemem są populacje ssaków obcego pochodzenia (wizon amerykański, jenot azjatycki, szop praczy), ale także bezpańskie koty domowe.

Jako zakończenie pozwalamy sobie zacytować fragment z pracy K. Gruhla pokazujący, że już 100 lat temu ochrona ptaków była potrzebna. Na przykładzie znanego z pięknego śpiewu słowika rdzawego autor podaje czynniki, które mogły być odpowiedzialne za spadek liczebności tych ptaków: „Pierwsza rzecz to nadmierne rozpowszechnienie się kotów domowych, które trzyma się u nas w mieście i którym zazwyczaj wolno włóczyć się swobodnie po ogrodach i ulicach. W tych warunkach ucierpieć muszą ptaki gniazdujące na ziemi, do których należy przecież nasz słowik. Druga okoliczność jest następująca: słowik do budowy swojego gniazda potrzebuje suchych liści i osiedla się tylko tam, gdzie pozostawione są suche liście, znika, gdy tylko ta ściółka bywa usunięta. Na tym chyba polega istotna przyczyna regresu słowika. W naszych zieleniach miejskich w roku 1926 i 1927 usunięto stare liście między krzewami w całości, mimo że na tę okoliczność wielokrotnie zwracało się już uwagę. W tym swym czasie również i słowiki nie pokazały się”. Podczas gdy w 1925 r. były jeszcze na terenach zielonych dwie albo trzy pary, to w 1927 nie słybać było już ani jednej.

Biologia w byłej fabryce

ROZMOWA Z DR KRYSYŃĄ WALIŃSKĄ – BIOŁOŻKĄ, KIEROWNICZKĄ CENTRUM PRZYRODNICZEGO W ZIELONEJ GÓRZE

– Czy już od najmłodszych lat fascynował Panią świat przyrody?

– Idąc już do szkoły średniej, wybrałam klasę o profilu biologiczno-chemicznym. Później podejmując decyzję o kierunku studiów, choć trochę myślałam o medycynie, to koniec końców, będąc laureatem Olimpiady Biologicznej, wybrałam biologię molekularną na Uniwersytecie Wrocławskim. Spotkałam tam profesorów z prawdziwego zdarzenia – wychowanków słynnych uczonych z Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie – Parnasa, Banacha, Hirszfelda. Stali się oni dla mnie prawdziwymi mentorami, przewodnikami na dalsze lata.

– Jednak wróciła Pani do Zielonej Góry.

– Początkowo w Instytucie Inżynierii Środowiska Wyższej Szkoły Inżynierskiej prowadziłam zajęcia z chemii, potem krótko byłam związana z Wyższą Szkołą Pedagogiczną, gdzie przygotowywałam pracę doktorską, którą obroniłam na UMCS w Lublinie. Po połączeniu obu uczelni związałam się z nowo powstałym Wydziałem Nauk Biologicznych.

– Biologia to szeroka dziedzina, czym konkretnie się Pani zajmowała?

– Badałam fizykochemiczne właściwości modelowych błon biologicznych, które modyfikowałam związkami izolowanymi z roślin.

– To brzmi bardzo obco dla laika.

– Okazało się, że temat jest rozwojowy, a izolowane z roślin poliprenole znacząco poprawiają właściwości skafoldów bioresorbowalnych. Skafoldy te mogą być między innymi wykorzystane do odbudowy tkanki kostnej przy jej ubytkach na przykład w wyniku złamania czy osteoporozy. Te elementy w formie sztyftów umieszcza się w kości i to na nich następuje odbudowa tkanki. Po czasie skafoldy podlegają degradacji, mają bowiem właściwości podobne do nici chirurgicznych. Plany i ambicje naukowe miałam duże, niestety z uwagi na brak odpowiedniego zaplecza naukowego nie miałam możliwości realizacji badań w szerszym zakresie.

– Żałuje Pani, że tak się stało?

– Została satysfakcja wypromowania ponad stu dyplomanatów, opublikowania kilkudziesięciu prac i udział w konferencjach polskich i zagranicznych. Zajęłam się ponadto innymi sprawami. Zresztą zawsze mi przyświecał cel, by nauka czemuś służyła. Podczas pracy na uczelni, oprócz dydaktyki, leżało mi na sercu promowanie nauki. Realizowałam między innymi takie przedsięwzięcia: Noc Biologów, Festiwal Nauki i międzynarodową konferencję „Od Biotechnologii do ochrony środowiska”, której byłam kierownikiem organizacyjnym i naukowym. Brali w niej udział studenci i doktoranci z całej Europy. Doszliśmy do XII edycji.

– A w jakich okolicznościach w Pani życiu pojawiło się Centrum Przyrodnicze?

– Kiedy rozpoczęto rewitalizację budynków byłego Lumelu, zamierzeniem inwestora było utworzenie Muzeum Przyrodniczego, mającego być jednostką Wydziału Nauk Biologicznych. Ideą jego utworzenia zajęli się Zbyszek Zawada z naszego wydziału i kilku jego współpracowników. Po tym, jak władarze Zielonej Góry odwiedzili Centrum Nauki Kopernik, postanowili, że w miejscu starego Lumelu powstanie coś na kształt warszawskiego ośrodka. Wtedy dziekan wydziału profesor Leszek Jerzak powiedział: Kryśka, weź udział w konkursie na specjalistę tego Centrum. Złożyłam aplikację na pracownika. Później zaproponowano mi poprowadzenie Centrum Przyrodniczego. Dzięki szybkiej decyzji miałam wpływ na kształt ekspozycji i dobór zespołu. Bazowałam na młodych, ambitnych absolwentach i studentach z wydziału, bo wiedziałam, jak się z nimi realizuje różne zadania. Otwarcie Centrum Przyrodniczego nastąpiło 2015 roku.

– Ile osób pracuje w Centrum?

– Mamy 11 specjalistów zajmujących się merytoryczną obsługą stanowisk interaktywnych. Wszyscy są na tyle elastyczni, że potrafią zrealizować zajęcia w ramach projektu „Świat nauki”. To grupa indywidualistów. Moim zadaniem jest konsolidowanie zespołu, nie zabijając jego kreatywności. Wspomaga nas kadra administracyjna i obsługa techniczna.

– Jakie są główne zadania Centrum Przyrodniczego, które podlega Zielonogórskiemu Ośrodkowi Kultury?



fot. Archiwum Centrum Przyrodniczego

KRYSYŃA WALIŃSKA – absolwentka biologii molekularnej na Uniwersytecie Wrocławskim. Po studiach związała się najpierw z Wyższą Szkołą Inżynierską, później z Wyższą Szkołą Pedagogiczną w Zielonej Górze. Po utworzeniu Uniwersytetu Zielonogórskiego była adiunktem w Katedrze Botaniki i Ekologii na Wydziale Nauk Biologicznych. W latach 2013-2014 była prodziekanem ds. studenckich WNB. Od 2014 r. kieruje Centrum Nauki Keplera-Centrum Przyrodniczym.

Oprócz pracy naukowej przez lata czynnie angażowała się w ruch mający na celu demokratyzację życia szkolnego. Była współorganizatorką Miejskiej Rady Oświatowej, będącej platformą współpracy różnych środowisk związanych z oświatą.

Krystyna Walińska jest autorką wielu artykułów i rozpraw naukowych, w tym publikacji z listy filadelfijskiej (Journal Citation Reports).

– Naszym niejako nadrzędnym zadaniem jest obsługa merytoryczna sal ekspozycyjnych z wystawami stałymi, które pozwalają na poznanie wybranych zagadnień z biologii, fizyki i geografii. Bazujemy na stanowiskach interaktywnych, odchodząc od struktury klasycznej wystawy i biernego jej oglądania. Jedną z wielu atrakcji jest stworzona w 2018 roku, ekspozycja przedstawiająca świat owadów i bogate insektarium. Dedykowana jest głównie dzieciom w wieku 4-12 lat. Naszą dewizą jest „Bawimy ucząc, uczymy bawiąc”. Nikt nam niczego nie narzuca, profil, tematyka zajęć, cykle spotkań zależą tylko i wyłącznie od nas. Duże podróże za pieniądze (nie)duże, akademie: Młodego Biologa, Zwierzaka dla Szkolniaka, Młodego Projektanta, Młodych Projektantów – to są nasze pomysły, a nie narzucone. Oprócz tego realizowane są wystawy czasowe i wspomniane już tematyczne zajęcia dedykowane.

– *Zaskoczył mnie licznik przy wejściu na sale ekspozycyjne, wskazujący już ponad 158 tysięcy zwiedzających.*

– To nie odzwierciedla faktycznej liczby osób, które odwiedziły placówkę. Spokojnie można ją przemnożyć przez dwa. Wynika to między innymi z tego, że w 2017 roku rozpoczęliśmy realizację projektu „Świat nauki – nowe standardy edukacji w szkołach zielonogórskiego Miejskiego Obszaru Funkcjonalnego”. Każdego dnia w Centrum pojawia się dużo uczniów.

– *Proszę o rozwinięcie wątku związanego z projektem, bo pewnie zielonogórzanie mało o nim wiedzą.*

– Projekt został zaplanowany na pięć lat, z tym, że co pół roku zmieniany jest temat zajęć. Uczestniczy w nim ponad sto szkół z naszego regionu. Sprawami organizacyjnymi zajmuje się Polskie Towarzystwo Ekonomiczne, my merytorycznymi. Każdego dnia na zajęcia przychodzi 200-300 uczniów od klasy czwartej do maturalnej. W godzinach realizacji projektu Centrum jest niedostępne dla zwiedzających. Są to godziny przedpołudniowe od wtorku do piątku.

– *Wychodzicie z organizacją wielu imprez poza budynek Centrum.*

– Z naszymi działaniami chcemy dotrzeć do jak najszerszej liczby odbiorców. Nasi pracownicy stale się doskonalą i uczestniczą w konferencjach. Spotykamy się a to w Koperniku w Warszawie, a to w Gdańsku, a to w Krakowie i wymieniamy doświadczeniami, pomysłami, wypracowanymi wzorcami, inspirując się wzajemnie.

– *Czy Kopernik jest wzorcem?*

– Jest jednostką wiodącą. My zatrudniamy 11 pracowników merytorycznych, oni ponad setkę. W Koperniku pracują showmani, którzy mają ogromną wiedzę, ciekawy sposób jej przekazywania, kontaktowość.

– *Czy narzekacie na niewielki budżet?*

– Nie stać nas na realizowanie przedsięwzięć wymagających dużych nakładów finansowych. Staramy się, a to, co robimy, jest tak atrakcyjne, że przyciągamy chętnych. Jesteśmy miejską placówką samorządową dotowaną przez miasto. Projekt „Świat nauki” to pieniądze unijne. Niedawno Centrum Nauki Keplera, w skład którego wchodzi, zostało laureatem nagrody Kryształowego Orła, przyznanej podczas Międzynarodowych Targów Turystycznych we Wrocławiu. Nagrodę przyznano w kategorii atrakcja turystyczna.

– *Na razie Centrum Przyrodnicze w ograniczonym zakresie wykorzystuje wielki budynek, w którym ma swoją siedzibę. Czy są plany zagospodarowania kolejnych przestrzeni?*

– Początkowo ekspozycja była tylko na parterze. Jej pierwszą część tworzyło 30 stanowisk interaktywnych. W drugiej części są wystawy czasowe, zmieniane co pół roku. Aktualnie prezentowana jest wystawa „Powrót do przeszłości” ze skamieniałościami i z dioramami, w których wiernie są odtworzone modele organizmów z minionych epok. Pierwsze piętro zagospodarowywane było wystawami czasowymi, gdzie pokazywali swoje prace twórcy związani z naszym regionem. Obecnie przygotowujemy projekt wystawy interaktywnej, łączącej parter i pierwsze piętro. Na wystawie pojawi się około 80 stanowisk interaktywnych.

– *Marzenia?*

– Bardzo mi leży na sercu rozbudowa i zagospodarowanie Centrum tak, aby stało się jeszcze bardziej atrakcyjne. Załóżdże zależy na tym, aby nasze Centrum mogło jeszcze efektywniej edukować, rozwijać wrażliwość na naturę i włączać się mocno w ochronę środowiska. No i chciałabym, żeby nasza praca spotykała się z zainteresowaniem mieszkańców nie tylko regionu, ale i kraju.

– *Jak Pani postrzega nasze miasto w kontekście dbałości o naturę?*

– Z uwagi na pozyskiwanie nowych terenów inwestycyjnych pewne działania są konieczne. Natomiast w wielu krajach europejskich, w Polsce również, są już wypracowane standardy, dzięki którym można minimalizować straty w środowisku przyrodniczym. Są to poczynania drogie, ale zmuszają inwestora do przemyślenia i przekalkulowania decyzji. Być może mniej kosztowne okaże się projektowanie biorące pod uwagę istniejący drzewostan niż bezmyślnie niszczenie tego, co pochłania dwutlenek węgla i daje nam tlen. Boli mnie, ogarnia wręcz wściekłość, gdy widzę bezmyślność. Jak nieuzasadnione ogławianie drzew. To, co robią z tymi drzewami, jest zabójstwem, nie ma nic wspólnego z zabiegami pielęgnacyjnymi. Te korony nie odrodzą się we właściwym kształcie, a większość drzew uschnie.

– *Czy to jest także w programie pracy Centrum?*

– Centrum stara się propagować działania mające na celu zwiększenie powierzchni biologicznie czynnych, na przykład na naszej wiacie śmietnikowej przygotowaliśmy zielony dach, a zamiast trawników w niektórych miejscach zakładamy łąki kwietne. Walczymy o niewykaszenie zieleni w pasach drogowych w mieście. A jeżeli już, to nie mniej niż do wysokości 10 cm, aby zachować funkcjonujący tam ekosystem. Ta wysokość może chronić wyrastające z ziemi nowe rośliny. Wytyczyliśmy miejsca, gdzie Zakład Gospodarki Komunalnej założy łąki kwietne. Te miejsca są między innymi w parku Piastowskim i przy ulicy Dworcowej. W ich sąsiedztwie ustawione zostaną tablice informujące o tym, jaka jest idea zakładania takich łąk. oznakowane będzie wspólnym logotypem. Będziemy sprawować nad tym opiekę merytoryczną.

– *Dziękuję.*

Alicja Błażyńska

Arkadiusz Cincio

Gdzie dawniej były winnice

Winiarstwo stanowi od wieków jeden z wyróżników Zielonej Góry. Plantacje winnej latorośli były wpisane w miejski krajobraz aż do drugiej połowy XX wieku, gdy zlikwidowano winnice przy ulicy Krośnieńskiej.

Zielonogórzanie uważali, że już w połowie XII w. przybyli do Zielonej Góry osadnicy z Flandrii i Frankonii, którzy mieli założyć pierwsze warsztaty sukiennicze i winnice. W 1900 r. zielonogórzanie obchodzili jubileusz 750-lecia winiarstwa na tych ziemiach. W mieście uprawiano winorośl na początku XIV w. Pierwsza wzmianka o zielonogórskim winiarstwie jest datowana na 1314 r., kiedy to według Hugona Schmidta część mieszkańców miała się schronić w winnicy przed szalejącą zarazą. Powstała tam kapliczka maryjna, która miała być wotum wdzięczności za ten ratunek. Wzgórze winne o nazwie Löbtenz było położone pomiędzy obecną aleją Juliusza Słowackiego i ulicą Władysława Reymonta. Kapliczka zachowała się do naszych czasów i jest użytkowana przez Kościół katolicki (przed wojną obiekt nie pełnił funkcji sakralnej).

W średniowieczu klimat był na ogół korzystny dla uprawy winorośli, a same winnice powstawały także położonych daleko na północ od Zielonej Góry. Dla zielonogórskiego winiarstwa szczególnie pomyślnym okresem były ostatnie trzy dekady XV w. Dzięki łagodnym ziomom oraz opiece panujących książąt znacznie zwiększył się obszar zajęty pod uprawy.

Powtarzające się okresowo mrozy stanowiły jednak realne zagrożenie dla winnic. Początek epoki nowożytnej cechował się w całej Europie znacznym ochłodzeniem klimatu. Niekiedy mówi się nawet o małej epoce lodowcowej. Masowej likwidacji ulegały wówczas narażone na działanie mrozu winnice w północnej Europie. Najdalej na północny-wschód wysuniętym okręgiem winiarskim Europy stały się okolice Zielonej Góry. Na początku XVI w. egzystencja zielonogórskich winnic stała pod znakiem zapytania. Niezwykle silne mrozy zimą 1513-1514 zniszczyły prawie wszystkie krzewy. Uprawa winorośli została przerwana na

osiem lat. Kolejnym trudnym dla winiarstwa lubuskiego okresem była wojna trzydziestoletnia (1618-1648). W latach 1700-1712 i 1727 r. w Zielonej Górze zanotowano wyjątkowo obfite zbiory winogron. Dobre zbiory powodowały szybki wzrost areału winnic, co z kolei doprowadziło do konfliktu z piwowarami, którzy w rozwoju winiarstwa widzieli zagrożenie. W 1728 r. na wniosek cechu piwowarów wydano zakaz zakładania nowych winnic w mieście. W 1800 r. areał winnic położonych w samej Zielonej Górze obejmował 700 hektarów. Specyfiką zielonogórskiego winiarstwa było jego rozdrobnienie. Znaczną część winnic

zajmowały drobne plantacje. Na przełomie XVIII i XIX wieku w mieście istniało 2200 winnic w 51 rewirach.

W latach 60. XIX w. winnice w Europie zaczęła niszczyć plaga filoksery zwanej niekiedy mszycą winną. Ten przywleczony z Ameryki Północnej szkodnik winorośli nie dotarł jednak w okolice Zielonej Góry, Krosna Odrzańskiego, Babimostu i Sulechowa. Piaszczysta gleba dominująca na Śródkowym Nadodrzu nie sprzyja rozwojowi filoksery. Owady, które były koszmarem dla winiarzy w niemal całym



Winiarnia rodziny Juraszków na wzgórzu Koscheberg



Domek winiarski i winnica na Wzgórzu Schillera (obecnie teren pomiędzy ul. Krzemieniecką i Władysława Reymonta użytkowany przez działkowców) fot. Archiwum Muzeum Ziemi Lubuskiej

świecie, stały się dla zielonogórskich winiarzy szansą na kontynuację uprawy winnic. Kolejnym czynnikiem przyczyniającym się do rozwoju winnic w Zielonej Górze było nowe wykorzystanie wina. Chodzi mi o to, że znaczną część lokalnej produkcji zaczęto przerabiać na winiaki, których produkcja stawała się coraz bardziej opłacalna. W Zielonej Górze powstawało wiele wytwórni winiaków, w tym między innymi należące do Alberta Buchholtza, Richarda Maya, Hugona Bethkego i Heinricha Raetscha. W 1877 r. powierzchnia zielonogórskich winnic wynosiła 1300 ha. W okresie tym jednak rozpoczął się ich kryzys, który zaostriął się po tym jak plaga filoksera została opanowana na przełomie wieków. Przyczynami spadku areálu zielonogórskich winnic był import tańszych winogron oraz rozwój przemysłu. Na początku XX w. na terenie samego miasta pozostało 650 ha winnic. W 1928 r. plantacje winnej latorośli zajmowały jedynie 150 ha.

Zielonogórskie winnice funkcjonowały także w okresie powojennym. Niewielkie plantacje winnej latorośli znajdowały się wówczas m.in. przy ul. Wąskiej, Wrocławskiej, Urszuli, Botanicznej, Piaskowej, Struga, Kilińskiego, Staszica, Buraczanej, Stolarskiej i Krośnieńskiej.

Obecnie o dawnej świetności zielonogórskiego winiarstwa stanowią: Wzgórze Winne z Palmiarnią, Muzeum Wina, budynki historycznych wytwórni win i winiaków oraz kamienice z dekoracjami winiarskimi. Samo położenie dawnych winnic natomiast nie jest znane większości obecnych mieszkańców miasta. Wydaje się zasadne, aby najważniejsze miejsca, w których dawnej uprawiana była winna latorośl, zostały oznaczone/upamiętnione za pomocą tablic informacyjnych. Również wydawanie map, na których zaznaczony zostałby obszar dawnych winnic, mogłoby wpłynąć na popularyzację dziedzictwa winiarskiego miasta. Pierwszy krok w tym zakresie wykonało Lubuskie Centrum Winiarstwa w Zaborze, które w ubiegłym roku zleciło wykonanie mapy „Lubuskie winnice wczoraj i dziś”. Myślę, że podobną mapę należałoby wykonać ograniczając jej obszar jedynie do tak zwanej starej Zielonej Góry. Podstawą do jej wykonania powinny być źródła kartograficzne z XIX i XX w.

Patriota w nie-pamięci

W nieistniejącym już czasopiśmie „Nadodrze” z 1961 roku ukazała się notka ze zdjęciem zaniedbanego grobu Kazimierza Lisowskiego, patrioty, rzemieślnika.

Autor notki z nr 8 (strona 14) nie jest podpisany, zdjęcie wykonał Bronisław Bugiel. Może to on wypatrzył zapuszczony grób i zaalarmował redakcję? Nagrobek K. Lisowskiego, założyciela Towarzystwa Rzemieślników Polskich, który zmarł 25 września 1935 r. po przesłuchaniu przez gestapo, znajdował się wówczas na cmentarzu w centrum miasta. „Nieopodal ładnych, niedawno zbudowanych domów. Na grobie stoi tablica »Hier ruht in Gott...«, a na miejscu kwiatów, które stale tu być powinny, rośnie zielsko. Zielsko zajmuje każdą piędź ziemi” – pisze redakcja. Apelując przy tym do władz miejskich i Cechu Rzemiosł Różnych o troskę o tenże grób zasłużonego Polaka.

Obecnie grobu tam nie ma, zresztą także cmentarza. To park Tysiąclecia. Zdaje się, że wkrótce po tym, kiedy „Nadodrze” oburzało się opisywaną sytuacją, szczątki doczesne K. Lisowskiego ekshumowano i pochowano w Alei Zasłużonych nekropolii przy ul. Wrocławskiej. Obecnie grób rzemieślnika – wspólny z innym patriotą i działaczem polskim Walentym Kliksem – jest zadbane. Widać świeże kwiaty, znicze, nawet biało-czerwone przepaski na nagrobku. „Nadodrze” nie miałoby się tutaj do czego przyczepić. Choć... We wspomnianej nocie jest i takie zdanie: „Piszemy o tym choćby ze względu na dzieci, które wprawdzie dziś dewastują grób, ale jutro będą się uczyły w szkole o najnowszych dziejach swego miasta i zapamiętywać będą nazwisko dobrego człowieka i obywatela”.



Grób Kazimierza Lisowskiego na starym cmentarzu komunalnym przy ul. Wrocławskiej

fol. Alicja Błażyńska

Czy jednak dziś tamte dzieci, dzisiejsi obywatele Zielonej Góry, naprawdę pielęgnują pamięć o K. Lisowskim? Czy poza ulicą i popiersiem w centrum miasta mamy ochotę czcić tę postać? Stawiać ją jako wzór, symbol patriotyzmu? Kto pamięta o K. Lisowskim w XXI wieku? Choć przecież jego postać mogłaby patronować np. rywalizacji wśród rzemieślników i drobnych przedsiębiorców? Mógłby zostać patronem konkursu na przedsiębiorcę roku lub czegoś podobnego. Może warto, żeby zainteresowali się tym nie tylko zrzeszeni w cechu rzemieślnicy lub miłośnicy Zielonej Góry, ale i rajcowie, władze, historycy, obywatele miasta.

E.K.

Daniel Jung

Gość prosto z kosmosu

22 marca 1841 r. do ówczesnej Zielonej Góry dotarła wiadomość o gościu z nieba, który pojawił się nieopodal Wilkanowa. Na pole spadł meteoryt. Otrzymał nazwę Grünberg, czyli zielonogórski, od największego miasta w pobliżu, albo Heinrichau, czyli wilkanowski, od nazwy wsi, do której należało pole.

Heinrich Pilz w kronice Zielonej Góry pisze, że „21 marca [1841 r.] po południu nieopodal pewnego dębu, z jasnego nieba z wielkim grzmiotem, syczeniem i hukiem, który był słyszany również w Zielonej Górze, spadł dwukilogramowy meteoryt”. Pracujący na polu fernali natychmiast pobiegli w kierunku miejsca, gdzie coś upadło. W ziemi był otwór, w nim na głębokości około 15 centymetrów, jak potem opowiadali, znajdowała się osobliwa w kształcie i wyglądzie bryła. Z początku bali się wyciągnąć ją na powierzchnię. Jedni uważali ją za bardziej gorącą niż rozżarzone żelazo, drudzy za żywe stworzenie, które może ugryźć albo wbić się w ciało jak kolce jeża.

Najpierw fernali znaleźli coś „nieopodal pewnego dębu”. Gdy się przekonali, że jest podobne do kamieni, jakie spotykali na brzegach strumyków, przypomnieli sobie, że przecież słyszeli kilka wystrzałów. W niedalekiej odległości od miejsca, gdzie odkryli pierwszą bryłę, natknęli się na jeszcze jedno znalezisko, również przypominające kamień tkwiący długo w darni łąkowej. Mówiono i o trzecim znalezisku, ale potwierdzenia brak. Większa bryła miała 757,5 grama, mniejsza niemal 172 gramy. Znaleziska przewieziono do Berlina. Tamtejsi badacze stwierdzili, że są to meteoryty. Opisali je jako szare żyłkowane chondryty, składające się głównie z oliwinu i piroksenów. Największą bryłkę otrzymał berliński uniwersytet. Mniejsza trafiła do Muzeum Mineralogicznego wrocławskiego uniwersytetu. Drobnie cząstki pojechały do 14 ośrodków badawczych, m.in. do Bukaresztu, Chicago, Kalkuty, Londynu, Watykanu, Wiednia.

Cztery lata po znalezieniu owego meteorytu coś podobnego spadło koło Sulechowa. Sześć lat później świat obiegła wiadomość o znalezieniu ogromnej bryły w Przelazach.

Nasz Układ Słoneczny powstawał około pięciu miliardów

LUBUSKIE METEORYTY

W Polsce jest 17 miejsc, gdzie spadły meteoryty. Cztery spośród nich znajdują się na Środkowym Nadodrzu. Pierwsze to wspomniane Wilkanowo koło Zielonej Góry. Kolejnym są Przelazy w powiecie świebodzińskim, gdzie ok. 1847 r. podczas kopania rowu melioracyjnego rolnik wydobyl bryłę ważącą 102 kilogramy. Pocięta na 70 kawałków, znajduje się w ośrodkach badawczych na całym świecie. Trzecim miejscem jest Sulechów. W zbiorach Uniwersytetu Wrocławskiego znajduje się fragment meteorytu, jaki spadł 20 stycznia 1845 r. na łąkę koło Sulechowa. Co do Dąbrowy Łużyckiej w powiecie żarskim są niejasności. Podobno 6 marca 1638 r. spadł tam meteoryt ważący 52 kg. Miał kształt miski, był kruchy, usiany grudkami metalu. Nawet jeden kawałek tej bryły nie zachował się do naszych czasów. Wiedza o nim pochodzi z publikacji.

lat temu. Formował się z pyłu i gazu. Ich drobinki łączyły się w drobiny, te z kolei w coś większego. A gdy się połączyły, to się topiły i krystalizowały w kuleczki, które zderzały się i się rozkruszały albo zespały w bryłki. Te bryłki to chondryty, które w dalszej kolejności łączyły się w większe objekty, zwane planetami. Jako pierwszy uformował się Jowisz. Co ważne, nie pozwalał on najbliższym sobie chondrytom łączyć się w większe bryły. Pomiedzy orbitami Jowisza i Marsa znalazło się bardzo dużo obiektów skalnych. Niektóre mają średnicę przekraczającą tysiąc kilometrów. To są meteoroidy. Nieustannie krążą, czasem wypadają ze swoich orbit i wtedy zderzają się z innymi oraz wyrzucają w przestrzeń odłamki skalne, które spadają na naszą planetę jako meteoryty. Inaczej mówiąc meteoryt to część ciała niebieskiego, którą człowiek może wziąć do ręki.

Meteoryt zielonogórski spowodował wzniesienie w 1860 r. wieży widokowej. Nazywana przez mieszkańców rondlem z maczugą, pełniła rolę ekskluzywnej restauracji z winiarnią i miejsca obserwacji nieba. Na czele komitetu budowy stał ojciec sławnego astronoma Wilhelma Foerstera, urodzonego w Zielonej Górze rektora berlińskiego uniwersytetu.

Obecnie budowla ta zwie się Wieżą Braniborską. Mieści się w niej obserwatorium astronomiczne należące do Uniwersytetu Zielonogórskiego.



W centrum podzielonogórskiego Wilkanowa leży ogromny kamień. Tablica na nim informuje, że „22 marca 1841 o 15.30 w Wilkanowie spadł meteoryt znany w świecie jako Heinrichau lub Wilkanówko”.

fot. Daniel Jung

Jan Mielżyński

Gdzie był las, tam musiał być las

„Ten, kto posadził chociaż jedno drzewo, to nie żył na próżno”, twierdził Bolesław Kostkiewicz. Inne jego życiowe zasady to: patriotyzm, honor, uczciwość i zamiłowanie do pracy. Był najstarszym myśliwym w Zielonej Górze.

Urodził się w 25 lipca 1908 r. w Jaśle. Na kształtowanie się jego postawy życiowej wpływ miała rodzina, a zwłaszcza ojciec, dziadek i stryj. Waław Kostkiewicz, dziadek Bolesława, był szlachcicem i właścicielem niedużego majątku w pobliżu Lidy na Litwie. Po powstaniu styczniowym, w którym aktywnie uczestniczył, na skutek represji władz carskich został zmuszony do emigracji. Schronienie znalazł w zaborze austriackim, gdzie osiadł wraz z całą rodziną w Sandomierzu. W rodzinie Kostkiewiczów zawsze wysoko cenione było wykształcenie. Bolesław oceniając swoją młodość mówił, że był niesfornym młodzieńcem. Uczyć się nie bardzo chciał. Jak to sam oceniał – korzystał z życia i nie zawsze był posłuszny ojcu. Tak było z wyborem studiów. Do gimnazjum uczęszczał w Jaworowie. Komisja egzaminacyjna uznała go za dojrzałego do studiów wyższych.

Rozpoczął studia na Akademii Górniczej w Krakowie. Przerwał je jednak po półtora roku i wyjechał do brata, który zarządzał majątkiem rolnym w Brodach w Małopolsce. Tak uzasadniał swoją decyzję: „Wiedziałem, że chcę w życiu robić coś innego. Jak tylko zdałem maturę, wstąpiłem do koła łowieckiego. Łowiectwo było moją pasją, a moim nauczycielem stał się Szandor Balazs de Borbavitz, właściciel Brodów. Do majątku przyjeżdżali wtedy na polowania czołowi polscy politycy i przedstawiciele arystokracji. Odwiedzali nas między innymi generałowie Władysław Anders i Kazimierz Sosnkowski”.

B. Kostkiewicz ukończył studia na Wydziale Rolniczo-Lasowym Politechniki Lwowskiej w 1935 r. Odtąd brał udział jako adept łowiectwa w wielu polowaniach. Podpatrywał doświadczonych myśliwych, poznawał obrzędy i tradycje łowieckie. W sierpniu 1939 r. został zmobilizowany do czynnej służby, był uczestnikiem kampanii wrześniowej w stopniu porucznika. Jako oficer 14. Pułku Ułanów Jałowieckich wraz ze swoimi żołnierzami brał udział w obronie Buku pod Poznaniem. Walczył nad Bzurą. Uczestniczył w bitwach pod Górkami Kampinowskimi, Sierakowem i szarży pod Wólką Węglową oraz w obronie Warszawy. Od 16 września przejął dowodzenie szwadronem po poległym por. Godlewskim.

Po kapitulacji Warszawy do stycznia 1945 r. przebywał jako jeńiec wojenny w Oflagu II C Woldenberg (obecnie Dobiegniew). Po uwolnieniu z oflagu pracował w gospodarstwie rolnym w okolicach Poznania. Ciągnęło go jednak do lasu. Aleksander Górski, ówczesny dyrektor Lasów Państwowych w Gorzowie skierował go

do Skwierzyny. „Doszliśmy piechotą do Świebodzina. Tylko kawałek drogi podwieźli nas Rosjanie. Nadleśniczy Hoszowski zaproponował nam objęcie leśniczówki w Złotym Potoku. Równocześnie ostrzegł nas, że choć to piękne miejsce, jednak położone jest na odludziu, a przez to niebezpieczne. No i wciąż mieszkali tam Niemcy. Ja jednak chciałem spróbować”.

Gdy w kilka dni po rozmowie z Hoszowskim dotarli do Złotego Potoku, był już pewien, że ten urokliwy zakątek to miejsce przeznaczone dla niego. W leśniczówce zastał niemieckie małżeństwo – doktora Oskara Lohsego, współwłaściciela firmy medyczno-perfumeryjnej i jego żonę. „Jak mogłem zamieszkać z Niemcami pod jednym dachem? No cóż, chęć zemsty szybko minęła. A przecież oni nie musieli być temu wszystkiemu winni. W czasie wojny pewnie się bali, a po wojnie byli takimi samymi nieszczęśnikami jak my wcześniej. Zresztą O. Lohse pięknie grał na fortepianie. Do dziś pamiętam wspólne wieczory spędzane przy muzyce do wierszy Rilkego” – wspominał.

Prawdziwą klęską w owym czasie były pożary lasu. W największym z nich w lipcu 1946 r. spłonęło ponad tysiąc hektarów. „Nie było, komu gasić. Radziecka dywizja miała tylko sto łopat, a ludzi było zaledwie kilku. Las płonął przez trzy dni”. Równocześnie, w tych powojennych latach ogromne było zapotrzebowanie na drewno. Zręby były jednak odnawialne. „Tam, gdzie był las, musiał być las. Sam odnowiłem jakieś cztery, sześć tysięcy hektarów” – twierdził.

W 2008 r. Kostkiewicz otrzymał Złoty Kordelas Leśnika Polskiego. Za udział w walkach w obronie ojczyzny, pracę i działalność jako myśliwego został odznaczony między innymi trzykrotnie Krzyżem Walecznych, medalem Za udział w wojnie obronnej 1939, medalem Rodła, Honorowym Żetonem Zasługi PZŁ „Złom”, medalem Świętego Huberta.

Zmarł 23 marca 2011 r. Miał 102 lata.



Prezydent Lech Kaczyński odznaczył Bolesława Kostkiewicza Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski. W Pałacu Prezydenckim towarzyszył mu syn Krzysztof i bratanica Zofia.

fot. Archiwum autora

Ryszard Zaradny

Dlaczego niewielkie miasto zostało stolicą województwa

W 1950 roku w Zielonej Górze mieszkało 31,5 tys. osób. Uzyskanie przez miasto statusu ośrodka wojewódzkiego dodawało niewątpliwie prestiżu, ale niosło za sobą wiele problemów.

12 stycznia 1945 r. Armia Czerwona rozpoczęła ofensywę berlińską, zdobywając wschodnie tereny Niemiec, które według ustaleń na konferencji jałtańskiej miały zostać włączone do terytorium Polski (były to tak zwane ziemie postulowane). Na części z tych terenów faktyczną władzę przez pewien czas sprawowała Armia Czerwona (w Szczecinie do 5 lipca 1945 r.) lub znajdujące się tam jeszcze władze albo oddziały niemieckie (we Wrocławiu do 6 maja 1945 r.). Tworzenie polskiego zarządu na zajętych terenach zapoczątkowane zostało w oparciu o decyzję Państwowego Komitetu Obrony ZSRR z 20 lutego 1945 r., na podstawie umowy z 26 i 27 lipca 1944 r. Przejmując ziemie zachodnie i północne (tak zwane Ziemie Odzyskane), Polska tworzyła nową administrację państwową. Rada Ministrów uchwałą z 14 marca 1945 r. dokonała wstępnego podziału administracyjnego jeszcze przed zajęciem tych terenów, tworząc na nich cztery okręgi administracyjne nieposiadające statusu województw, powołując dla nich instytucje pełnomocników rządu: I (Śląsk Opolski – pełnomocnik Aleksander Zawadzki), II (Dolny Śląsk – pełnomocnik Stanisław Piaskowski), III (Pomorze Zachodnie – pełnomocnik Aleksander Kaczocha-Józefski, od 16 kwietnia Leonard Borkowicz), IV (Mazurski – pełnomocnik Jerzy Sztachelski, od 30 marca Jakub Prawin). Na czele okręgu stał pełnomocnik okręgowy (wojewoda), na czele obwodu pełnomocnik obwodowy (starosta). Okręgi formalnie zostały

przemianowane na województwa

28 czerwca 1946 r. pełnomocnikom nadano bardzo szeroki zakres władzy cywilnej. W początkowym okresie działalności obejmowała ona również nadzór nad organizacją władz niespolonych, a ich zarządzenia były obowiązujące dla urzędów cywilnych. Znamienne, że pierwszymi zastępcami pełnomocników okręgowych byli delegaci Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego. Pełnomocnicy byli zobowiązani do powołania grup operacyjnych, których zadaniem było zorganizowanie administracji stopnia okręgowego i obwodowego. Ci ostatni mieli zorganizować zarządy miejskie i gminne.

Ze względów organizacyjnych narzucających konieczność scentralizowania wszystkich spraw dotyczących obejmowania, zasiedlania i administracji Ziem Zachodnich, a więc wówczas jeszcze nie z przyczyn doktrynalnych, Rada Ministrów włączyła 11 kwietnia 1945 r. Biuro Ziem Zachodnich do Ministerstwa Administracji Publicznej i mianowała ówczesnego ministra Edwarda Ochaba na pełnomocnika generalnego Ziem Odzyskanych. Dekretem Rady Ministrów Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej z 27 listopada



Odznaka honorowa Za zasługi w rozwoju województwa zielonogórskiego ustanowiona 28 czerwca 1962 r. przez Wojewódzką Radę Narodową. Była wykonana z metalu koloru złotego, z liśćmi winogron po bokach. Centralną część stanowił orzeł biały na tle czerwonej, trójkątnej tarczy z konturami województwa zielonogórskiego i przepływającymi przez jego teren największymi rzekami. Była przyznawana do 1975 r.

1945 r. o zarządzie Ziem Odzyskanych utworzone zostało Ministerstwo Ziem Odzyskanych, pracami którego kierował Władysław Gomułka. Jego zadaniem była szeroko pojęta administracja Ziemiami Odzyskanymi, w tym przeprowadzenie planowej akcji przesiedleńczej, zarząd mieniem poniemieckim i scalenie z resztą kraju. Resort ten wyodrębniony został na podstawie kryterium terytorialnego, a nie rzeczowego i jego zadaniem było koordynowanie działalności innych ministerstw na tych terenach, z wyjątkiem Ministerstwa Spraw Zagranicznych oraz Żeglugi i Handlu Zagranicznego. Ministerstwo zostało zlikwidowane 11 stycznia 1949 r. ustawą o scaleniu zarządu Ziem Odzyskanych z ogólną administracją państwową, co związane było także z odsunięciem W. Gomułki od władzy.

25 września 1945 r.

przekazano wojewodzie poznańskiemu

pod zarząd powiaty należące do Ziem Odzyskanych: babiński, sulęciński, gorzowski, gubiński, krośnieński, międzyrzecki, pilski, rzepiński, skwierzyński, strzelecki, sulechowski, sulęciński, trzcianecki, wschowski i zielonogórski. Powiaty te de facto stały się częścią województwa, choć de iure w dalszym ciągu stanowiły część Ziem Odzyskanych. 28 czerwca 1946 r. obszar tych ziem włączono do zasadniczego podziału kraju, tworząc na nim trzy nowe województwa: olsztyńskie, szczecińskie i wrocławskie. Śląsk Opolski włączono do województwa śląskiego. Powstało wówczas 14 województw o dość niezrównoważonym potencjale pod względem powierzchni, ludności oraz jednostek administracyjnych. Województwa obejmujące swym zasięgiem teren Ziem Odzyskanych były nieproporcjonalnie duże w stosunku do obszaru pozostałych województw tak zwanych Ziem Dawnych. W szczególności wyróżniały się województwa: poznańskie,

w którym na 12,6 proc. ogólnej powierzchni kraju, w 42 powiatach zamieszkiwało 10,12 proc. ludności, i wrocławskie, w którym odpowiednio: 7,94 proc. powierzchni, w 35 powiatach mieszkało 8,11 proc. ludności. Ponadto do województwa poznańskiego należały zarówno ziemie będące w granicach państwa polskiego przed 1939 r., jak i ziemie przyłączone do Polski (Ziemia Lubuska), które stanowiły 26,24 proc. powierzchni tego województwa.

29 maja 1946 r. Rada Ministrów uchwaliła rozporządzenie dotyczące utworzenia czterech ekspozytur urzędów wojewódzkich na Ziemiach Odzyskanych: w Bolesławcu, Gorzowie Wlkp., Opolu i Szczecinku. W ówczesnym układzie geograficznym Ziemi Lubuskiej Gorzów był położony centralnie, co uzasadniało decyzję przyznania priorytetowej pozycji. Ministerstwo Ziem Odzyskanych opracowało projekt organizacyjny ekspozytury i zaleciło wojewodzie poznańskiemu uruchomienie jej 1 października oraz jednoczesne zlikwidowanie Wydziału Ziemi Lubuskiej w Poznaniu. Ekspozyturą Urzędu Wojewódzkiego Poznańskiego kierował w randze wicewojewody Florian Kroenke, dotychczasowy starosta gorzowski.

Administrowanie tak dużym obszarem, zwłaszcza w warunkach przeprowadzenia na Ziemiach Odzyskanych kilku niezbędnych akcji, jak zasiedlenie, uwłaszczenie, odbudowa gospodarcza czy tworzenie struktur administracyjnych, było utrudnione ze względów logistycznych i komunikacyjnych. Na Ziemi Lubuskiej mieszkało wówczas 560 613 osób, w tym 352 689 na wsi i 207 924 w miastach. Stanowiło to 61,4 proc. stanu ludności z 1939 r. (911 378 osób). Wśród mieszkańców Ziemi Lubuskiej w 1950 r. było 52,3 proc. przesiedleńców z ziem dawnych, 41,1 proc. repatriantów, 2,8 proc. reemigrantów, 2,6 proc. autochtonów, 1,2 proc. to ludność niewiadomego pochodzenia. Te względy stanowiły zasadniczy powód rozpoczęcia w 1948 r. prac studialnych nad nowym podziałem administracyjnym Ziem Odzyskanych. Wskazywano też na inne powody, jak wyczerpanie formuły jednolitego zarządzania specyficznymi problemami Ziem Odzyskanych, a także na względy polityczne związane z odsuwaniem od władzy W. Gomułki, szefa MZO, co znalazło wyraz w zlikwidowaniu tego ministerstwa 11 stycznia 1949 r.

W opracowanym przez MZO „Memoriale w sprawie utworzenia województwa lubuskiego z siedzibą w Zielonej Górze” z 5 kwietnia 1949 r. szeroko uzasadniano potrzebę utworzenia nowego województwa. Przede wszystkim oceniano, iż „Ziemia Lubuska stanowi zwarty teren o odrębnej problematyce administracyjnej, gospodarczej i politycznej i że istnieją tam odmienne warunki przemian ustrojowych, i że wobec tego stworzenie tam ośrodka dyspozycji politycznej i administracyjnej może jedynie zapewnić należyty rozwój tych ziem, opanowanie pełne terenu, aktywizację życia gospodarczego”. Wskazano na duże zróżnicowanie wsi wielkopolskiej i lubuskiej. Z perspektywy tamtego okresu znaczące w ocenie było, że na Ziemiach Dawnych 55 proc. gruntów ornych znajdowało się we władaniu bogaczy wielkich posiadających od 20 ha wzwyż i stanowiących 45 proc. gospodarzy, a także gospodarstwa od 10-20 ha stanowiących 20 proc. ogólnej liczby gospodarstw i obejmujących dalsze 25 proc. ziemi ornej. Natomiast na wsi lubuskiej dominowały gospodarstwa do 12 ha na glebach słabej jakości. Dominował tutaj „sektor państwowy, który obejmował 144 majątki o powierzchni użytkowej 49 059 ha oraz spółdzielnie



Ratusz – siedziba władz miasta



Plac wokół ratusza



Ulica Jana Sobieskiego



Korowód winobraniowy na pl. Bohaterów



Aleja Niepodległości



Ten samolot stał na skwerze przy ul. Bolesława Chrobrego



Stary dworzec kolejowy, rozebrany w 1970 r.

parcelacyjno-osadnicze i grupy parcelacyjne. Taka sytuacja wymagała odmiennej polityki państwa wobec wsi, zwłaszcza wobec narzucanej kolektywizacji wsi.

Istotne było także, iż projekt utworzenia odrębnego województwa dla Ziemi Lubuskiej poparty był pozytywną opinią Regionalnej Dyrekcji Planowania Przestrzennego w Poznaniu oraz Wydziału Wojewódzkiego Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej i Wojewódzką Radę Narodową. Miał także jednoznaczne poparcie polityczne PZPR.

Problemy te dotyczyły całości Ziem Odzyskanych. Wobec tego postanowiono włączyć już tereny ziem zachodnich i północnych w jednolity system administracyjny kraju. Tym niemniej nadal uwzględniano odrębność problemów społecznych, gospodarczych i kulturowych. Dlatego ziemie te otrzymały własne struktury administracyjne do rozwiązywania regionalnych problemów. 28 czerwca 1950 r. Sejm Ustawodawczy uchwalił ustawę o zmianach w podziale administracyjnego państwa, tworząc trzy nowe województwa na Ziemach Odzyskanych:

koszalińskie, opolskie i zielonogórskie

Istotnym elementem nowego podziału administracyjnego było także zlikwidowanie dysproporcji potencjału poszczególnych województw. Nowe województwa zostały wyodrębnione z dotychczas istniejących. Zmieniło to w sposób zasadniczy geografie struktur administracyjnych.

Największe zmiany dotyczyły samego określenia Ziemi Lubuskiej. W skład województwa zielonogórskiego weszły powiaty: z zachodniej części województwa poznańskiego – zielonogórski z Zieloną Górą, gorzowski z Gorzowem, strzelecki, skwierski, sulęciński, międzyrzecki, świebodziński, rzepiński, babimojski, krośniński, gubiński i wschowski. Powiat pilski pozostał w województwie poznańskim. Poprzez dołączenie pięciu powiatów na południu z województwa wrocławskiego: głogowskiego, kożuchowskiego, szprotawskiego, żagańskiego i żarskiego swoje centralne usytuowanie utracił Gorzów, który uchodził za centrum Ziemi Lubuskiej. W nowym układzie taką pozycję zyskała Zielona Góra.

Ostatecznie w skład województwa zielonogórskiego wchodziło siedemnaście powiatów o łącznym obszarze 14 500 km kw., 556 tys. mieszkańców, z czego 205 tys. mieszkało w miastach (36,9 proc.). Podzielone było na 118 gmin, 1162 gromady i 35 miast, a jego powierzchnia stanowiła około 5 proc. powierzchni kraju.

Uzasadnienie wyboru Zielonej Góry zaprezentowano już w „Memoriale”. Był on podyktowany „z jednej strony centralnym położeniem i jego nadrzędną rolą gospodarczą i kulturalną, jaką spełnia w stosunku do przyległych powiatów, z drugiej tym, że jest jedynym miastem leżącym na skrzyżowaniu głównej magistrali kolejowej, z główną drogą kołową – łączącymi Szczecin z Górnym i Dolnym Śląskiem oraz Czechosłowacją”.

O konieczności dokonania zmian, zarówno podziału terytorialnego, jak i funkcjonowania administracji zdawano sobie sprawę wcześniej. Dlatego też czyniono odpowiednie przygotowania do ich przeprowadzenia. Tym uzasadniano likwidację Ministerstwa Ziem Odzyskanych. Uregulowano prawnie tryb zmian takiego podziału, uchwalając 4 lutego 1950 r. ustawę o dokonywaniu zmian podziału administracyjnego państwa. 21 czerwca 1950 r. Rada Ministrów wydała

rozporządzenie w sprawie utworzenia powiatów miejskich z miast: Zielona Góra w województwie poznańskim, Rzeszów w województwie rzeszowskim i Koszalin w województwie szczecińskim.

Decyzje o zmianie podziału terytorialnego poprzedzone zostały oczywiście działaniami politycznymi. Kwestia zlokalizowania w Zielonej Górze władz wojewódzkich była już wcześniej przesądzona, bowiem 20 lutego 1950 r. odbyło się posiedzenie „przedstawicieli czynników miejscowych Zielonej Góry oraz przedstawicieli Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego w sprawie wytypowania obiektów dla rozmieszczenia przyszłych Wojewódzkich Organów i jednostek Bezpieczeństwa Publicznego”. Między innymi przejęto budynek szpitala powiatowego przy ul. Wazów (szpital przeniesiono do Sulechowa), a na potrzeby Wojewódzkiej Rady Narodowej postanowiono przejść budynki szkolne zlokalizowane wokół pl. Słowiańskiego.

8 lipca 1950 r.

Tego dnia w Teatrze Miejskim odbyła się inauguracyjna sesja Wojewódzkiej Rady Narodowej, której przewodziła Leokadia Żmudzińska. Udział w niej wziął wicepremier Aleksander Zawadzki. Sesję otworzył w imieniu Rady Państwa wicemarszałek Sejmu Waclaw Barcikowski. Na przewodniczącego Prezydium WRN w Zielonej Górze wybrany został kierownik gorzowskiej ekspozytury i wicewojewoda poznański Jan Musiał. Wiceprzewodniczącymi zostali: Stanisław Garwiński i Jan Furman.

Skład pierwszej 102-osobowej WRN został utworzony na zasadzie delegowania przez ugrupowania polityczne: Polska Zjednoczona Partia Robotnicza – 55, Zjednoczone Stronnictwo Ludowe – 21, Stronnictwo Demokratyczne – 5 i oficjalnie było 21 bezpartyjnych. Istotny był w ówczesnym ustroju politycznym przekrój społeczny władz, który prezentował się następująco: robotników – 35, chłopów – 25, pracowników umysłowych 41 (1 osoba zaklasyfikowana jako „inni”).

Uzyskanie przez Zieloną Górę statusu miasta wojewódzkiego dodawało niewątpliwie prestiżu, ale niosło za sobą wiele problemów. Przede wszystkim lokalowych i kadrowych, w których występowały ogromne niedostatki. Ludność Zielonej Góry w 1939 r. liczyła około 26 tys. osób a w 1950 r. już ponad 31,5 tys. Wprawdzie infrastruktura mieszkalna nie ucierpiała w czasie wojny, ale też nie powiększyła się w latach następujących. W czerwcu 1950 r. został sporządzony



„Gazeta Lubuska”, nr 188, 10 lipca 1950 r.

w Zielonej Górze wykaz 31 instytucji społeczno-politycznych i gospodarczych, które złożyły wnioski o przydział 496 izb na pomieszczenia biurowe i mieszkania dla pracowników. Aby zapewnić te pomieszczenia, przeprowadzono przesiedlenia mieszkańców, szczególnie uznawanych za niepewnych politycznie prowadzących prywatną inicjatywę, poza Zieloną Górę. Tworzenie całej struktury administracyjno-partyjnej wymagało rzeszy nowych kadr, których nie było w Zielonej Górze. Prezydium WRN w Poznaniu przekazało w sierpniu Prezydium WRN w Zielonej Górze 572 etaty. Ich podstawowy trzon stanowili pracownicy gorzowskiej ekspozytury, a „ludzi na kierownicze nomenklaturowe stanowiska” typował Komitet Wojewódzki PZPR w Poznaniu.

Od redakcji: Zdjęcia pochodzą ze zbiorów autora i z kolekcji Muzeum Ziemi Lubuskiej.

ZMIANY NA MAPIE ADMINISTRACYJNEJ KRAJU

Mniej więcej co ćwierć wieku zachodzą zmiany w podziale administracyjnym Polski. Po utworzeniu trzech nowych województw w 1950 r. kolejna zmiana była w 1957 r., kiedy do istniejących 17 województw oraz Warszawy i Łodzi jako miast wydzielonych dołączono Kraków, Poznań i Wrocław. Liczba administracji szczebla wojewódzkiego wynosiła 22.

W 1951 r. przemianowano powiat babimojski na sulechowski i przeniesiono siedzibę władz do Sulechowa. Dwa lata później przemianowano powiat kożuchowski na nowosolski i przeniesiono siedzibę do Nowej Soli. W 1959 r. przemianowano powiat rzepiński na słubicki. W 1961 r. zniesiono powiaty gubiński i skwierzyński.

W 1965 r. województwo zielonogórskie zajmowało powierzchnię 14 514 km kw., na której mieszkało 847,2 tys. osób.

W 1973 r. w miejsce zniesionych 4315 gromad utworzono 2365 gmin. Spośród 53 osiedli 16 otrzymało prawa miejskie, osiem włączono do najbliższych miast, 29 zaliczono do wsi.

W 1975 r. zlikwidowano powiaty. W miejsce 17 województw i pięciu miast wydzielonych utworzono 49 województw. Gorzów był siedzibą władz województwa gorzowskiego, które powstało z części dawnego województwa zielonogórskiego, szczecińskiego i poznańskiego. Zielona Góra pozostała stolicą województwa zajmującego 8868 km kw., zamieszkałego przez 679,3 tys. osób, składającego się z 26 miast i 50 gmin.

W 1999 r. kraj został podzielony na 16 województw. Województwo lubuskie zajmuje 13 988 km kw., jest zamieszkałe przez 1,017 mln osób. Zostało podzielone na 12 powiatów ziemskich i dwa miejskie. Tworzy je dziewięć gmin miejskich, 34 – miejsko-wiejskie i 39 wiejskich. Siedzibą wojewódzkiej administracji samorządowej jest Zielona Góra, rządowej – Gorzów.

Od prezydenta do prezydenta

Drugim i zarazem ostatnim prezydentem Zielonej Góry przed reformą administracji w 1950 roku był Józef Ziarnkowski. Był też pierwszym przewodniczącym Prezydium Miejskiej Rady Narodowej. Pierwszym prezydentem po kolejnej reformie w 1973 r. był Jan Nieruchalski.

8 lipca 1950 r. J. Ziarnkowski uczestniczył w inauguracyjnej sesji Wojewódzkiej Rady Narodowej, która odbyła się w sali teatru miejskiego. Wtedy został wybrany na sekretarza Prezydium WRN. J. Ziarnkowski był świadkiem wejścia w życie ustawy o terenowych organach jednolitej władzy państwowej. Tę ustawę sejm uchwalił 20 marca 1950 r., a weszła w życie w czerwcu tego samego roku. Ustawa likwidowała zarządy miejskie, które do tego czasu pełniły rolę organów wykonawczych rad narodowych. Ich funkcję wykonawczą przejęły prezydium rad narodowych. Likwidacji uległy także stanowiska wójtów, burmistrzów i prezydentów miast.

Prezydium rad narodowych stały się kolegialnymi organami wykonawczymi i zarządzającymi rad oraz organami administracji państwowej. Ich pracą kierował przewodniczący.

Przewodniczącymi Prezydium Miejskiej Rady Narodowej w Zielonej Górze byli:

Józef Ziarnkowski – prezydent w 1949 i przewodniczący w 1950 r.

Edward Stokowski – 1950-1951

Kazimierz Niemiec – 1951-1952

Wacław Maciejewicz – 1952-1959

Mieczysław Stańczyk – 1959-1963

Tadeusz Zalewski – 1963-1965

Władysław Nasiadek – 1965-1969

Kazimierz Mamak – 1969-1973.

W 1950 r. w zielonogórskiej Miejskiej Radzie Narodowej zasiadało 33 członków Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej (60 proc. składu), 13 członków Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego i dziewięciu radnych bezpartyjnych. Komitet Wojewódzki PZPR uznał skład polityczny MRN za zadowolający. Krytyce poddał strukturę władz miejskich pod względem społecznym. Bowiem robotników było zaledwie trzech (9 proc.), a pracowników umysłowych 28 (87 proc.). Podobne zarzuty pojawiały się w następnych latach. Władze wojewódzkie uznawały, że rada nie mobilizuje szerokich mas i nie wciąga ich do współzrządzenia państwem i miastem. Dlatego ze składu MRN wykluczono dziewięć osób, wśród nich komendanta miejskiego Milicji Obywatelskiej.

Mimo iż odwilż popaździernikowa 1956 r. była czasem nadziei i wzrostu aktywności społecznej, radni miejscy nadal byli „namaszczeni” i mieli reprezentować PZPR, a nie interesy społeczności lokalnej. Zostali wmontowani w system, ale nie przez kompetencje i mandat społeczny, a z racji przynależności partyjnej.

W latach 1972-1975 zostały przeprowadzone reformy funkcjonalne państwa. Najpierw zniesiono gromady, a na ich miejsce powołano większe organizmy, jakimi były gminy

uznane za podstawowe jednostki podziału administracyjno-gospodarczego na wsi. Rady narodowe pozostały terenowymi organami administracji państwowej i uzyskały status organizacji samorządu społecznego. Miejsce przewodniczących rad zajęli naczelnicy gmin i miast-gmin, najpierw mianowani na czas nieokreślony. Gminne i miejsko-gminne rady narodowe stały się organami władzy państwowej, natomiast organem wykonawczym był naczelnik. W 1973 r. dokonano korekt w organizacji i kompetencjach rad narodowych i terenowych organów stopnia powiatowego i wojewódzkiego. Powiatem kierował naczelnik, województwem – wojewoda.



Jan Nieruchalski (1934-2017)

fol. Archiwum Państwowe w Zielonej Górze

W dużych miastach organem wykonawczym był prezydent, formalnie powoływany przez prezesa Rady Ministrów, a wskazywany przez egzekutywę Komitetu Wojewódzkiego PZPR.

Pierwszym prezydentem Zielonej Góry po zmianach w 1973 r. został Jan Nieruchalski. Zanim objął urząd gospodarza miasta, kierował Zasadniczą Szkołą Zawodową przy ul. Bema. Urząd prezydenta pełnił do 1975 r.

J. Nieruchalski urodził się w Środzie Wielkopolskiej w 1934 r. Ukończył studia na Politechnice Poznańskiej, kierunek budownictwo. W 1956 r. otrzymał nakaz pracy w szkole zawodowej we Wschowie, gdzie uczył przedmiotów zawodowych. W następnym roku został kierownikiem warsztatów w Zasadniczej Szkole Zawodowej przy ul. Bema w Zielonej Górze. Cztery lata później otrzymał nominację na dyrektora tej szkoły. Kierował nią do 1982 r. z przerwą w latach 1973-1975, kiedy był prezydentem miasta. Jako nauczyciel i jako gospodarz miasta był wierny zasadzie: nie popadać w stan samozadowolenia, cenić podwładnych, rozmawiać z mieszkańcami.

Ireneusz Jamniczek

Ulica Kościelna 2

Kochana, bardzo żałuję, iż nie mogę się z Wami spotkać. Wyjeżdżając na konferencję do Włoch nie miałem pojęcia, że zostanę poddany kwarantannie. Właściwie cieszę się z tego, gdyż pozostając w jednym z centrów naukowych mam możliwość rozmawiania z innymi profesorami oraz spokojnej pracy.

Żałuję, iż nie mogę zjeść smacznych dań w tej przyjemnej restauracji Ohy-Ahy. Najbardziej interesują mnie dojrzewające szynki wiszące tam przy wejściu, które można zobaczyć przez witrynę. Ich widok zaostrza mi apetyt. Podejrzewam, że zamówione przez Was dania były smaczne! Bardzo mnie cieszy, iż w restauracji można nabyć lokalne wina, np. z naszej zaprzyjaźnionej winnicy Bachusowe Pole. Powinno to stanowić normę, niestety tak nie jest. Jestem ciekawy baru tapas, te małe przystaweczki, szynka serrano, oliwki, focaccine, bardzo kuszące. A słyszałem też, że i pizza jest wyśmienita, robiona tak jak tu, w Italii, na cieniutkim chrupiącym cieście z mozzarellą di bufalla, salami, albo nawet i wegetariańska z orzechami włoskimi i karczochami. Droga, wiem, że i tak najbardziej przepadasz za kuchnią azjatycką i założę się, zamówisz sobie ostrą zupę kimchi z pierożkami, a jak zmieścisz danie drugie, to japońskie pierożki gyoza albo koreańskie kluski salduki z sosem. Daj mi znać, czy ten nasz największy wesołek, gaduła i żarłok najadł się tym ogromnym garnkiem z pieca? Pewnie zamówił sobie wersję hiszpańską z chorizo, kurczakiem, krewetkami i fasolą i pożarł to wszystko sam.

Nigdy nie miałem okazji być w środku tej restauracji. Sama wiesz, jaki ciągle jestem zabiegany. Nadmiar pracy. Jednak pożytecznymi informacjami służę zawsze, i muszę tu nadmienić, że obszar rynku to bardzo ważne miejsce dla naszej zielonogórskiej historii. Należy pamiętać, iż pierwsza przedkolacyjna osada rozwijała się w okolicy pl. Matejki, ul. Podgórznej i Kupieckiej. W XIII wieku wyznaczono teren pod

zabudowę nowego miasta z centralnie wytyczonym rynkiem na planie prostokąta (60 x 160 metrów), z którego odchodziło w przeszłości sześć uliczek. Dzisiaj jest on zwany Starym Rynkiem, na którym około XIV w. zbudowano ratusz. Wokół niego wyznaczono działki pod zabudowę obiektów mieszkalnych, handlowych i rzemieślniczych. Dane z dokumentów zostały poświadczony wykopaliskami archeologicznymi, takimi jak fundamenty domostw pochodzących z XVI-XVII w. Jedno ze stanowisk archeologicznych teoretycznie można oglądać przez, niestety brudną, szybę umieszczoną w nawierzchni, jeśli ktoś ma wystarczającą wyobraźnię. W XVIII w. poszczególne części rynku miały swoje nazwy, które określały rodzaj towarów i usług wykonywanych w ich strefie. Część zachodnią zajmował rynek zbożowy, część północną sukienniczy, a od strony wschodniej znajdował się rynek lniany. Po przebiću trzeciej bramy miejskiej wytyczono rynek garncarski (obecnie pl. Pocztowy) oraz plac targowy nazywany od XVII w. drzewnym (obecna ul. Drzewna). W XIX w. przebito mur miejski wytyczając obecną ulicę Pod Filarami. Wtedy też na terenie pocmentarnym powstał ostatni rynek, zwany nowym – dzisiejszy pl. Słowiański.

W 1899 roku przy Katholische Kirchstrasse 13, czy też jak twierdzą inne źródła Kirchgasse, zbudowano kamienicę, w której znajduje się restauracja Ohy-Ahy. Zabudowa większej części starego miasta powstała w drugiej połowie XIX i w pierwszych dekadach XX w. Spowodowane było to niezwykłym tempem rozwoju gospodarczego zjednoczonych Niemiec, który można porównać do boomu, jaki przeżywają współczesne Chiny. Sama kamienica została wzniesiona w stylu neorenesansowym, na co wskazuje konstrukcja otworów okiennych, dachu oraz sposobu zdobienia fasady.

Interesujące jest to, iż przez większość swojej historii kamienica związana była z funkcjonowaniem różnorodnych instytucji finansowych. Początkowo bank prowadził tam Pinkus S. Abraham. Zakończył on jednak działalność w październiku 1899 r. przekazując aktywa, pasywa i kamienicę Domowi Bankowemu H.M. Flisbach's Witwe w Glogau (Głogowie). Dom Bankowy funkcjonował pod tym adresem

w latach 1899-1923. Potem prowadził w niej działalność Darmstadter und National Bank, który dysponował 115 milionami marek kapitału. Sieć tych banków posiadała ponad 200 oddziałów oraz ponad 100 kas depozytowych. Następnie do końca wojny istniał tu Dresdener Bank, a po wojnie już inna instytucja, która zajmowała się operacjami finansowymi dla różnego typu przedsiębiorstw. Po transformacji gospodarczo-ustrojowej Polski w budynku działały firmy finansowe, jak np. Home Broker i Notus Finance. W pewnym sensie tradycja ta jest nadal kontynuowana, gdyż znajdują się w nim kancelarie prawne, biuro senatorskie itp. Związek pomiędzy kamienicą a gastronomią powstał dopiero w 2008 r. Wówczas to otworzono tu kawiarnię, jedną z pierwszych sieciówek w Zielonej Górze.

Droga, czy jeszcze pamiętasz, że na obecnym deptaku był ruch kołowy? Ja tak. Często wspominałem, że jako młodzieniec jeździłem samochodem ojca, białą syrenką, którą pożycząłem bez jego wiedzy. Przejeżdżałem kiedyś ulicą Kościelną i pech chciał, że tatko zauważył mnie w samochodzie. Sama możesz się domyślać, co potem się wydarzyło. W każdym razie deptak, przy którym stoi ta wspaniała kamienica, powstał dopiero na przełomie lat 60. i 70. XX w. Został zaprojektowany przez architekta Bogusława Jaskułowskiego. Na ulicach, które są częścią współczesnego deptaka, miały miejsca demonstracje, przez moich kolegów historyków określane jako wydarzenia zielonogórskie. Przechodziły też tędy korowody winobrania i potem działy się różne cuda.

Nie mam pojęcia jak długo potrwa kwarantanna, być może ze dwa tygodnie, być może trochę dłużej. Że też zachciało mi się pojechać na tę konferencję. W każdym razie nikt tutaj nie panikuje, nie myśli o chorobie ani o konieczności robienia zapasów. Traktuję to jak miły, od losu dany prezent, który pozwala mi wypocząć. Proszę, pozdrów od mnie naszych znajomych, pana archeologa oraz znanego zielonogórskiego aktora Mistera G. Przez te rozważania strasznie zgłodniałem, a na kolację ma być podobno spaghetti Cacio e pepe, jak będziesz chciała, to podam Ci przepis, tylko proszę o list w tej sprawie.

Pozdrawiam

Piąta gala Winiarki

Zielonogórską Nagrodę Literacką „Winiarka” w 2019 roku otrzymał poeta, publicysta i animator Eugeniusz Kurzawa. Ogólnopolski konkurs na utwór literacki o tematyce zielonogórskiej wygrał Adam Żuczkowski z Wolsztyna. Obaj są członkami zielonogórskiego Związku Literatów Polskich.

Nie w Sali Witrażowej Muzeum Ziemi Lubuskiej, jak to było w latach poprzednich, a w Sali im. Janusza Koniusza księżnicy Norwida odbyła doroczna uroczystość wręczenia Winiarki połączona z ogłoszeniem wyników konkursu na utwór literacki o Zielonej Górze. Sprawcą zmiany tradycyjnego miejsca był remont i przebudowa gmachu muzeum. Miało to tę dobrą stronę, że gala odbyła się w sali, której patronem jest pomysłodawca Winiarki Janusz Koniusz, zmarły w 2017 r. poeta, prozaik i publicysta. Przypominamy, że nagrodę o takiej nazwie przyznawała redakcja czasopisma społeczno-kulturalnego „Nadodrze”, które do końca lat dziewięćdziesiątych ukazywało się w Zielonej Górze. Jej laureatami byli twórcy kultury i nauki z całego regionu lubuskiego.

Gala odbyła się pod koniec października. Właściwie to były trzy uroczystości przygotowane przez Towarzystwo Miłośników Zielonej Góry „Winnica”. Po powitaniu uczestników uroczystości prezes stowarzyszenia Ryszard Błażyński przypomniał, że literacką Winiarkę dotąd otrzymali: poetka Agnieszka Leśniowska, prozaik Krzysztof Koziołek, poeta i historyk literatury dr Robert Rudiak i prozaik Alfred Siatecki. W 2019 r. było 15 kandydatów do nagrody zgłoszonych przez zarząd i członków TMZG „W”, czytelników i bibliotekarzy oraz organizacje pozarządowe. Spośród zgłoszonych pięcioosobowa kapituła (Teresa Pawlak, Maria Wasik, dr hab. Ryszard Zaradny, dr R. Rudiak i R. Błażyński) wybrała czterech kandydatów, nad którymi odbyło się głosowanie tajne. Najwięcej głosów otrzymał Eugeniusz Kurzawa.



Eugeniusz Kurzawa otrzymał Winiarkę 2019. Stauetkę zaprojektował artysta rzeźbiarz Robert Tomak

Laureat Zielonogórskiej Nagrody Literackiej „Winiarka” ukończył pedagogikę kulturalno-oświatową w byłej Wyższej Szkole Pedagogicznej w Zielonej Górze. W czasie studiów współredagował czasopisma o tematyce kulturalnej, współpracował z „Nadodrzem”, organizował spotkania twórców kultury studenckiej. Po studiach pracował jako dziennikarz i publicysta. Większość swoich tekstów ogłosił w „Gazecie Lubuskiej”. Publikował w „Gazecie Nowej” i w czasopismach wychodzących na Podlasiu, gdzie pracował od ukończenia studiów w 1974 do 1991 r. Obecnie kieruje redakcją „Inspiracji”, czasopisma wydawanego przez Zielonogórski Uniwersytet Trzeciego Wieku. Jest autorem 12 zbiorów wierszy i trzech książek publicystycznych oraz wielu opracowań. Za swoją twórczość otrzymał między innymi Lubuski Wawrzyn Literacki, dwukrotnie Nagrodę Kulturalną Prezydenta Zielonej Góry, Nagrodę Literacką im. Słowackiego. W Wilkanowie, gdzie mieszka, stworzył Ogród Sztuk, do którego zaprasza twórców kultury z całego kraju. Przez 14 lat był prezesem zielonogórskiego oddziału Związku Literatów Polskich. Z jego inicjatywy została powołana Nagroda Literacka im. Andrzeja K. Waśkiewicza. Jako animator licznych poczynań kulturalnych dąży do powołania w Zielonej Górze instytucji muzealnej zajmującej się badaniem

literatury powstającej w regionie lubuskim. Jego zdaniem obecność Polski w kulturze literackiej regionu jest słabo zaznaczona. – Niedawno zmarł Janusz Koniusz, wcześniej Michał Kaziów, Mieczysław Warszawski, Andrzej Waśkiewicz, Zygmunt Trziszka. Zostały ich książki i pamiątki, które mogą mieć duże znaczenie tak dla czytelników, jak i literaturoznawców oraz studentów. Jeśli nie zostaną one zgromadzone w jednym miejscu, będą rozproszone, to doprowadzi do zaniku pamięci o tych twórcach. Dlatego zwracam się do władz Zielonej Góry o wskazanie budynku, gdzie będą zbierane dokumenty literackie i gdzie będą mogły pracować osoby zajmujące się badaniem literatury powstającej w regionie lubuskim – powiedział E. Kurzawa podczas gali.

Na ogłoszony przez TMZG „W” konkurs literacki o tematyce zielonogórskiej napłynęło ponad 80 prac między innymi z Przemysła, Krakowa, Sosnowca, Lublina, Warszawy, Torunia, Suwałk. Najwięcej prac pochodziło od autorów tworzących w regionie lubuskim. Jury (Władysław Klępka – poeta, Anna Konstanty – pisarka, dr hab. Marta Ruszczyńska – literaturoznawczyni, E. Kurzawa – poeta, A. Siatecki – prozaik) przyznało nagrodę główną Adamowi Żuczkowskiemu z Wolsztyna za zestaw wierszy. Nagrodą jest wydanie książki laureata w 2020 r. Dyplomy i upominki



Mieszkaniec Wolsztyna urodzony w Zielonej Górze Adam Żuczkowski został laureatem konkursu literackiego na utwór o tematyce zielonogórskiej



Ubiegłoroczna laureatka konkursu na utwór o tematyce zielonogórskiej Anna Konstanty podpisywała swoją najnowszą książkę „Cztery do kwadratu”

za teksty nominowane otrzymali: Anna Paliszewska z Wieliczki i Piotr Sowiński z Łodzi.

Zwycięzca konkursu urodził się w Zielonej Górze, gdzie ukończył szkołę średnią. Po studiach polonistycznych na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu pracował jako nauczyciel w szkołach powiatu wolsztyńskiego. Ma w swoim dorobku literackim pięć zbiorów poetyckich. Należy do ZLP. Po odebraniu nagrody powiedział: – Nie o samo miejsce, jakim jest Zielona Góra, mi chodziło, lecz o ludzi, którzy mieli wpływ na moje życie. Choćby osoba pana Grochońskiego, autochtona, człowieka, który mieszkał w Zielonej Górze w czasach, kiedy panowali tu Niemcy. Jawi się w krajobrazie Zielonej Góry moja mama, jawi się Jerzy Zgodziński, szef korczakowców. Jestem niejako jego wychowankiem. Więc ta Zielona Góra jest krainą początku, jednocześnie krainą jakichś marzeń, powrotów.

W ubiegłym roku konkurs na utwór o tematyce zielonogórskiej wygrała Anna Konstanty. Nagrodą było wydanie jej książki. Podczas tegorocznej gali ukazał się zbiór opowiadań „Cztery do kwadratu” pióra A. Konstanty. – Na książkę składa się szesnaście opowiadań. Jej tytuł zasugerował mój synek – powiedziała autorka. – Cztery do kwadratu to szesnaście. Dlatego szesnaście opowiadań, w czterech różnych dziedzinach: samotność, poszukiwanie, małżeństwo i odrobina magii. Są motywy zielonogórskie, ponieważ nie kieruję się jakimś jednym trendem w opowiadaniach. Jeżeli coś takiego niezwykle przytrafi mi się na ulicach Zielonej Góry, to po prostu o tym piszę. Jeżeli gdzieś indziej, to piszę o innych miejscowościach. Dużo piszę o wsi, ponieważ mieszkam na wsi i to jest jednak najbliższe mojemu sercu. – To trzecia książka pisarki z Chlebowa koło Gubina.

Podczas gali swoje utwory wykonała formacja Biała Ćma czyli Kajetan

Suder (wokal, gitara) z Zielonej Góry i Sebastian Siuda (wokal, gitary) z Gorzowa. Zespół istnieje od czterech lat. Artyści twierdzą, że połączył ich w formację zielonogórski poeta Jacek „Katos”-Katarzyński, gdy w 2017 r. przygotowywał płytę „Części ciała, fragmenty duszy”. Biała Ćma gościła między innymi w Zielonej Górze, Gorzowie i Gubinie. Na Festiwalu Zespołów Garażowych w Olzie na Górnym Śląsku otrzymała wyróżnienie. Pod koniec ubiegłego roku ukazała się debiutancka płyta formacji „Pojawienia”. Są na niej utwory do słów m.in. lubuskich autorów Ewy Andrzejewskiej, Marka Sitarzkiego i „Katos”.

Tego samego dnia czytelnicy otrzymali szósty numer magazynu „Na Winnicy”, od czterech lat wydawanego przez TMZG „W”.

AS

fot. Alicja Błażyńska



Muzycy Kajetan Suder (po prawej) i Sebastian Siuda tworzący zespół Biała Ćma wykonali utwory do słów autorów zielonogórskich



Wśród gości gali byli Marcin Pabierowski (po lewej) z Rady Miasta i dyrektor biblioteki Norwida dr Andrzej Buck

Adam Żuczkowski

Na Zamkowej

Zielonej Górze – mojemu miastu

Na Zamkowej żył – był
od zawsze
niejaki Grocholski.
Chodził z terkoczącym
po bruku wózkiem.

Opowiadał
jak Homer
z niemieckim akcentem,
strzępy starych historii
o zielonym grodzie,
o winnej latorośli.

Z Zamkowej widać było,
jak na dłoni,
chudą wieżę Ratusza,
garby dachów,
kawałek miasta.

W okolicy żyli,
tanecznie jasno,
źli Cyganie
(tak mówili ludzie) –
z krzywymi nożami,
co konie, dzieci
i kury kradli.

Na Zamkowej mieszkała
większość naszych
zza Buga.
Kłócili się ze sobą, wygrażali.
Dobrzy ludzie z gruntu,
z roli – ale...
(widać, nie mieli co robić –
a wtedy nie było telewizji).

Nocą z Zamkowej
chadzałem nad rzekę marzeń,
widziałem –
neony kina Nysa,
Claudię Cardinale z biustem
i siebie, zanurzonego w fotelu,
z dziewczyną z ulicy Wandy.

Na ulicy Zamkowej
był od zawsze
niejaki Grocholski,
co z niemieckim akcentem
opowiadał nam
polskie historie.

9. 10. 2001

*Śnił mi się widok na miasto
z gniazda gołębi...*

Wejście w sen

Obudziłem się...
Powidok – czy obraz czasu
jest jeszcze
w moim oku?
Wchodzę w sen,
w niepokój, ucieczkę przez
labiryntowe schody domu.
Muszę biec szybko,
bo pojawia się bezszelestnie
bolesna jasność - jakiś człowiek...
Widzę gołębie i przyjaciół
z tamtej strony dzieciństwa.
Widzę z gazowni
pnącą się w górę
ulicę Zamkową.
Widzę matkę
o smukłych dłoniach,
dobrych - widzę wieżę.
Widzę, jak pachnie u Bielawskiego,
rośnie nowy chleb -
i widzę oczy, które patrzy
w milczeniu
– z pustego gniazda gołębi –
na moje miasto.

21. 07. 2013

Dom

Po drodze do herbaciarni,
nomen omen,
„W poszukiwaniu straconego czasu”,
mijałem swój dom
na ulicy Zamkowej
– murszejące, kruche ściany –
gotowy do odejścia
w niebyt,
pogodzony z losem.
Sięgał łapczywie
pustymi oczodołami okien
w tamten czas.

Widział małego chłopca –
który jak Indianin tropił
zagmatwane ścieżki,
aż w końcu
go tu przywiódł,
zaklinał wojennymi okrzykami
nie dającą się oswoić drogę.

Tu chłopiec uczył się
współżycia z kotami, gołębiami
i w końcu także z ludźmi.
Doznawał przyjaźni dobrej
z Jankiem, walki o przetrwanie,
zawiłości uczuć
do dziewczynki z ulicy Wandy.

Zachwycał się oblatywaniem,
wolnością brata i gołębi,
zdumiewał dmuchanym jak balon
podgardlem garłacza.
Na podwórku z zapałem
grał w kiczkę i pikera.

Teraz nie odważył się –
przekroczyć progu tajemnicy
mrocznej sieni,
wejść na strych
pełen gruchania gołębi,
zapachu czasu.

Dom mnie zobaczył,
a ja już nie mogłem
wejść, dotknąć –
swojego niepokoju.

20.01.2008



Piotr Sowiński

Budychy

Zielona Góra, wrzesień 1935 r.

Jesień była piękna. Liście złociły się na drzewach, podobnie jak piwo w kuflu. Kazimierz Lisowski marzył o piwie. Gotowy był nawet, mocą swej wyobraźni, zimną wodę przemienić w ustach w piwo. Ale wody nie było. To znaczy on jej nie miał. Gdyż obaj przesłuchujący go gestapowcy mogli się raczyć wodą gazowaną i dobrze schłodzoną. Gestapowców było dwóch. Blondyn, który nie musiał poświadczać swej aryjskości grał rolę dobrego policjanta. Brunet, którego korzenie były autochtoniczne, czyli poniekąd polskie, wcielił się w rolę tego złego śledczego. Co prawda Hitler też był brunetem, jednak wódz Trzeciej Rzeszy nie miał babci, której panieńskie nazwisko brzmiało Koneffka. Dlatego brunet się starał, ciemnowłosa chciał się zasłużyć i awansować. Może nawet przenieść się do Breslau. Był ranek. Przesłuchiwali go całą noc. Wszyscy byli zmęczeni, ale przesłuchiwany ledwo żył. Dyszał ciężko. Jego potężne ciało z trudem utrzymywało się na twardym krześle. Blondyn zapalił papierosa i spokojnie, choć zmęczonym głosem mówił:

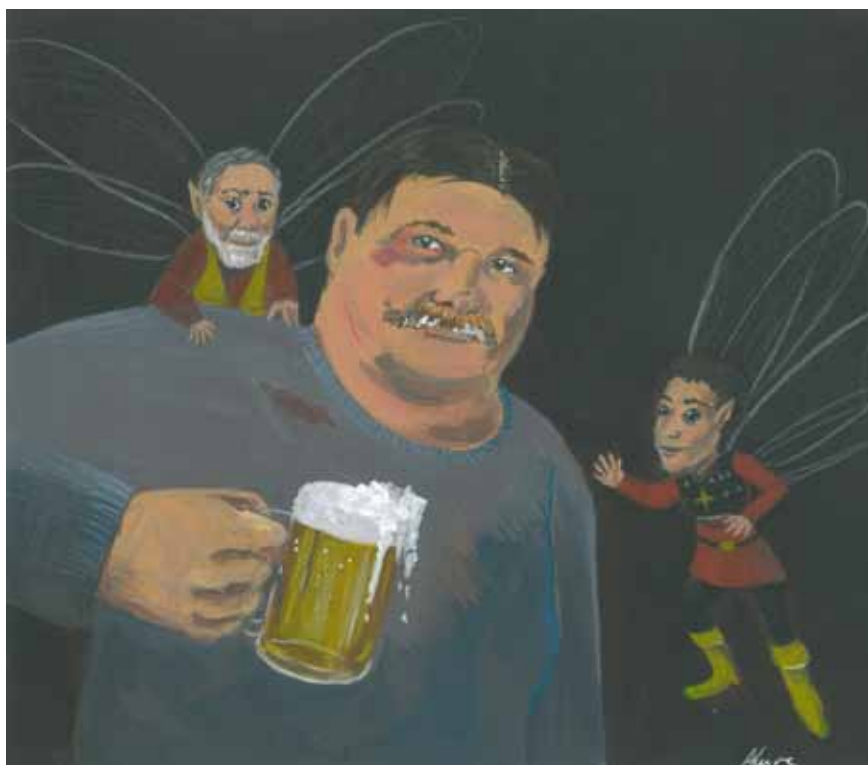
– Panie Lisowski, fakty są takie: dwa dni temu znaleziono zamordowaną prostytutkę. Nazywała się Eliza Maslanka. Denatka miała w ręku odznakę Towarzystwa Rzemieślników Polskich w Zielonej Górze, którego prezesem jest pan. Dokładne badania daktyloskopijne udowodniły, że na odznace są pańskie odciski palców. Rodzina potwierdziła, że noc spędził pan w domu, ale problem w tym, że ta Maslanka została zabita w ciągu dnia. Ma pan problem, panie Lisowski.

Lisowski nic nie mówił. Patrzył zmęczonym wzrokiem w okno. Brunet też zapalił papierosa. Tymczasem blondyn zaciągnął się i kontynuował wywód.

– Możemy pana przekazać prokuratorowi. Dostaje pan czapę. Proces nie będzie trwał długo. Nawet jeżeli rodzina i przyjaciele złożą się na najlepszego adwokata, to on nie będzie się przesadnie starał panu pomóc. Bo nikt nie jest tak głupi, by z nami zadzierać. Nikt. Krótco po procesie wyrok zostaje wykonany. Taka jest pierwsza możliwość. Ale ma pan wybór. A to rzadki przywilej dla Polaka w Trzeciej Rzeszy. Śledztwo może skrócić w inną stronę. Może się okazać, że te odciski palców należą do pana Kowalskiego. Tego samego, który ostatnio zadawał trudne pytania podczas zebrania towarzystwa. Przecież zdaje pan sobie sprawę, że Kowalski dybie na pańskie stanowisko. Pan to wie, my

Polaków poważanie, dużo pan wie o Polakach. Kontaktuje się pan intensywnie ze Związkiem Polaków w Niemczech. Wszyscy możemy mieć korzyści. My i pan, panie Lisowski. Naprawdę więcej zyskamy na porozumieniu niż na wrogości. Ja nie jestem pańskim wrogiem. Studiowałem w Monachium. Tam wielu Polaków się kształciło. Polacy nie cierpieli Prusaków. Ale nas, Bawarczyków, lubili. W końcu Bawaria jest katolicka. Przecież mamy wspólnych wrogów: Żydów i bolszewików. Nad czym się pan zastanawia, panie Lisowski?

Lisowski nic nie mówił. Marzył o łyku wody, którą zamieniłby na piwo. W sukurs blondynowi przyszedł brunet, który przejął wodze przesłuchania.



rys. Aleksandra Kurzawa

to wiemy, członkowie towarzystwa też to wiedzą albo czują. Jedno pańskie zeznanie, że dwa dni temu widział pan Kowalskiego wychodzącego z kamienicy, w której zamordowano tę prostytutkę i dajemy panu spokój. Jeden z członków waszej organizacji zeznał, że ten Kowalski zadawał się z tą nieszczęsną Maslanką. Kowalski idzie na szafot, pan wraca do domu, pańskie stanowisko jest bezpieczne. Między nami zawiązuje się nic porozumienia. Ma pan wśród

– Ale jest inna możliwość. Jutro zmienimy metody przesłuchania. Ja nie studiowałem w Monachium, tylko w Breslau. A urodziłem się niedaleko Posen. Jestem Prusakiem. I szczerze nienawidzę Polaków. Tak jak oni mnie. Tłukliśmy się każdego dnia. Umiem bić. Szczególnie Polaków! – zaśmiał się.

Lisowski milczał. Cały czas marzył o wodzie. Brunet zaś kontynuował:

– Dlatego scenariusz naszych posiedzeń wyglądać może tak. Jutro

zaczniemy zrywać panu paznokcie albo będziemy bić pana drewnianą pałką. A może wylamiemy panu ręce? Co pan na to? Ile pan wytrzyma? Zezna pan to, czego od pana oczekujemy. Kowalskiego i tak trafi szlag, ale pana również. Sąd orzeknie, że obaj zamordowaliście tę nieszczęsną prostytutkę. Niech się pan zastanowi. Jeszcze ma pan wybór. Do jutra.

Szeregowi funkcjonariusze wytaszczyli zmęczone ciało Lisowskiego i zartargali je do celi. Zamiast wody, którą chciał przemienić w piwo, otrzymał porcję cuchnącej cieczy, którą polali mu głowę. Cella, w której wylądował ledwie wpuszczająca odrobinę światła. Patrząc na promienie słońca wciskające się do pomieszczenia, zmrużył oczy. Gdy je zamknął, przyszedł sen. Przesłuchanie trwało całą noc. Gdy się obudził, było już zupełnie ciemno. Usiadł na taborecie. Chciało mu się pić, jeść i palić. Zaklął stłumionym głosem.

– To nie ładnie tak bluźnić – usłyszał głos.

– Kto tu? – zawołał.

– To my, budychy – znowu usłyszał głos.

Jego oczom ukazały się dwa stworki. Wyglądały trochę jak krasnoludki. Ale miały skrzydełka.

– Kim jesteście?

– Budydami – zaśmiał się ten nieco wyższy.

– Nigdy o was nie słyszałem, To znaczy, słyszałem o Budydach z Dąbrówki. Znam Jana Budycha.

– To nasz krewny – tym razem powiedział niższy ludek.

– Krewny?

– No, niezupełnie taki prawdziwy, ale w zasadzie krewny.

– Jak to niezupełnie?

Skrzaty podrapały się po głowach. Po chwili ten wyższy powiedział:

– Otóż rozchodzi się o to, że budychy, czyli my wzięliśmy się od Maryśki Budydych. Ona pierwsza stała się takim stworkiem-budychem.

– Jak to?

– Dawne dzieje. Ona umiała czytać. Ojciec ją nauczył. Jej ojciec chciał mieć syna, ale tylko córkę miał. Postanowił,

że córkę nauczy czytać i nauczył. Ta jego córka – Maryśka Budydych – nauczywszy się czytać, czytała różne książki zakazane. Na ten przykład dzieła Husa. No i ją spalili.

– Kto?

– No, kat ją spalił. Księża donieśli, że ona czytajaca, że ma w domu husyckie książki.

– No i co?

– Jak ją spalili a wraz z nią te książki to ona stała się pierwszym budychem. Takim skrzatem, co to w książkach mieszka.

– W książkach?

– Tak. Budychy żyją w książkach. Nie można nas zobaczyć. Jesteśmy niewidzialni. Gdy ktoś czyta książkę, to my wskakujemy mu na ramię i pomagamy zrozumieć. On czyta, a my mu tłumaczymy, o co w książce chodzi. To dzięki nam ludzie rozumieją, co czytają.

– Łżecie. Przecież was widzę – zaśmiał się więzień.

– Nie łgam. Widzisz nas, bo my jesteśmy bezdomnymi budydami.

– A co się stało z waszymi domami?

– Spalili. Hitlerowcy spalili. Ja na ten przykład mieszkałem w książce Freuda, a ten mały w procesie Kafki mieszkał. Widzisz nas, bo jesteśmy bezdomni.

– Mój Boże...

Prezes Związku Rzemieślników Polskich w Zielonej Górze chciał coś jeszcze dodać, ale w blasku księżycy dostrzegł w rękach mniejszego stworka potężny kufel piwa.

– Proszę – odezwał się budydych.

Lisowski wyłopał cały kufel.

– Dolewki? – zapytał niski jegomość.

– Chętnie.

Znowu wypił całą zawartość kufła.

Drugi z jego towarzyszy niedoli przyniósł kawał golonki. Lisowski zjadł z apetytem.

– Dobre z was chłopaki – powiedział.

Budychy przyglądały mu się uważnie. On usiadł wygodnie na taborecie. Nie zdążył pomyśleć, a w rękach dymił mu dobrej jakości papieros.

– No, teraz to wszystko gra – zaśmiał się więzień.

Gdy wypalił, spojrzął na książkowe stworzenia i zapytał:

– I co wy teraz zrobicie? Bez domu.

– Poszukamy nowego. Już właściwie znaleźliśmy. Tu jest zupełnie nieźle. Bo te diabły nas nie widzą.

– Dlaczego ja was widzę, a gestapowcy nie?

– Bo my ukazujemy się tylko tym, co czytają książki. Dla tych, co palą książki, jesteśmy niewidzialni. Podobnie jak dla tych, co nie czytają książek.

– Rozumiem.

Robiło się zimno. Więzień zaczął dygotać. Stworki mieszkające w książkach natychmiast to zauważyły. Mniejszy budydych przyniósł ciepły koc. Zaś większy przytargał gruby sweter.

– Boję się – wystękał Lisowski.

Skrzaty pokryły więźnia kocem i swetrem.

– Czego się boisz? – zapytał większy ze stworków.

– Przesłuchania. Jutra. Właściwie wszystkiego się boję.

Budychy pochylały się nad przerażonym człowiekiem i zaczęły mu opowiadać baśnie. W opowieściach rycerze walczyli ze smokami, ratowali księżniczki. Wszystkie przygody kończyły się dobrze. Za każdym razem zło było ukarane. Nad ranem do celi Lisowskiego przyszedł strażnik. Po chwili brzęcząc kluczami pobiegł do pokoju przesłuchań. Obaj gestapowcy szykowali się do pracy. Strażnik zdał relację. Funkcjonariusze w czarnych mundurach pobiegli za nim. Przed wejściem do celi czekał już zaalarmowany lekarz. Wszli do środka. Pierwszy do zwłok więźnia podszedł doktor. Wykonał kilka rutynowych działań.

– Nie żyje – zawyrokował.

– Jak to, nie żyje? – blondyn się bardzo zdenerwował.

– Chyba atak serca. Więcej powiem po sekcji – odpowiedział medyk.

Blondyn z brunetem wymienili pełne wściekłości spojrzenia.

– Uciekł wam. Bezczelna polska świnia – chropawym głosem zaśmiał się lekarz.

Od redakcji: na str. 12 publikujemy tekst „Patriota w nie-pamięci”, w którym przypominamy bohatera tego opowiadania.

Anna Piliszewska

Wino z Thalloris

Między Niecką Chynowską a Niecką Płotowską
Wiatr się huśta w gałęziach – z drzewami się droczy,
Konarami potrząsa – i sypią się listy,
A ty mówisz: to liśćmi złoty pejzaż broczy.

Jesień sunie – jak pająk: utka znów gobelin
Babim latem i światłem, stygnącym jak laka.
Mówisz: – To melancholii szal chłodny i dżdżysty,
A nam włosy siwieją – tylko sięść i płakać...

Tam, gdzie grona dojrzałe i płodne połacie
Mgłą się okryć próbują, choć nikt ich nie widzi,
Wzdychasz: – Lato odeszło gdzieś w kwiatkach i ptakach,
Ziemia wnet będzie naga i pewno się wstydzi...

Popatrz! – czujne zwierzęta coś wietrzą w przestrzeni.
Jakiś dziwny niepokój przefrunął nad wzgórzem,
Niczym motyl ostatni, co kona, gdy leci
W zjasienniałym powietrzu, w szeptliwej wichurze.

Coś strzyknęło znów w kościach, cień skrzypi w zegarze.
Tylko wino w kieliszkach rubinem tak krwawym
Jak radosna pochodnia szarówkę rozświeci.
Łza rozbłyśnie – lecz zgaśnie, nim spadnie w sierść trawy...

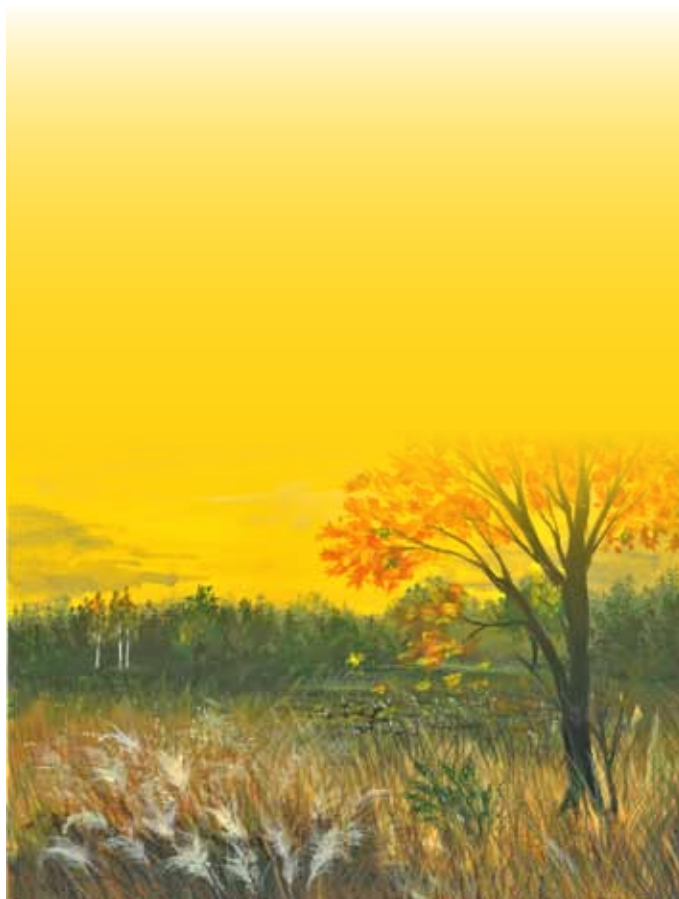
Winiarnia

Milkną słowa, nie brzęczą flaszki ani szklanice,
W starej, dusznej winiarni, podniesionej z popiołu.
Wszyscy dawno już poszli, już połknęła ich zamieć,
Tylko kocur łaciaty rezyduje u stołu.

Dokąd poszli? Dlaczego? Czy już późna godzina?
Kapie wino rozlane na posadzkę – w kałuży
Cień się przejrzał i westchnął, i jak inne odpłynął
W jakieś dale ciepłiwe, gdzie mgłą nicosić się smuży.

Gdzie ta ręka co kufle rozstawiała raz po raz,
Gdzie tabliczka i kreda, gdyś chciał kupić na kreskę,
Gdzie ta panna, co z flaszą pierś różaną ci poda –
Czy istnieją gospody i tawerny niebieskie?

Póki co, stary zegar wybił północ i stanął.
Zaśniedziałym bimbadałem sen leniwie kołysa.
Kocur połknął dwie myszy – ziewnął, w kłębek się zwinął;
Strzęp poświaty się huśta w posiwiałych wibrysach...



rys. Aleksandra Kurzawa

Marionetka

Byłem wiernym rycerzem swojej brzydkiej damy.
Pojechałem na wojnę na koniu ze szmatek,
Gdzie hałasu, posoki i śmierci dostatek,
Gdzie na niby anioły, biesy i kurhany...

Powróciłem kaleki, w potrzaskanej zbroi –
Ale głowę mą aktor do góry zadzierał,
Więc nadano mi miano superbohatera,
Który smoków, papierów i pik się nie boi.

Ukłonilem się żwawo, gdy tłum dla mnie klasnął.
Potem w pudle złożono, zamknięto pokrywą.
Gdzieś hen!, poza Teatrem, są byty prawdziwe,
Ale mi powiedziano, żebym twardo zasnął,

Drzemie zatem ciepłiwe – jak kukle przystało.
Nie znam dnia, gdy na powrót na scenie wystąpię –
Gdy mnie ludzie wyjmują, w światłach ramp się kąpię.
Dobrze jest być niedużym i pragnąć tak mało.

Nie wiem, czy mnie wyrzucą, gdy kiedyś się znudzę.
Nie mam życzeń i marzeń, nie tęsknię za nikim –
Może tylko... czasami za magią muzyki,
Za dziwnymi baśniami, co śmieszą i łudzą...

Alina Polak-Woźniak

Milczący świadkowie minionych czasów

W zamku w Białowicach wyjdzie nam naprzeciw przyjaźnie nastawiona koza. Pałac w Dłużku natomiast pokrywa ogromna ilość pajęczyn, szczególnie w okiennicach.

Dotychczasowe publikacje wydane przez Stowarzyszenie Forum Art cieszą się ogromną popularnością (między innymi „Kronika zielonogórskiego rocka”, „Historia Zielonogórskiego Zagłębia Kabaretowego”). W kolejnym zrealizowanym projekcie wydawniczym tej grupy spotkały się dwie zupełnie odmienne osobowości, ale o bardzo zbieżnych zainteresowaniach. Autorka tekstów zamieszczonych w „Lubuskich zamkach i pałacach”, Aleksandra Łobodzińska, to współautorka wcześniej wymienionych książek dotyczących zielonogórskich środowisk twórczych, rodowita zielonogórzanka, prezes Stowarzyszenia Forum Art, filmowiec i nauczycielka. Adam Sowa, który wykonał zdjęcia tytułowych miejsc, to Ślązak mieszkający od kilku lat w Zielonej Górze, grafik komputerowy z zawodu, fotograf z zamiłowania. Lubi eksplorować miejsca tajemnicze i nieco zapomniane. W swoich pracach nieustannie stara się zatrzymać to, co przemija, co zostało zapomniane, choć często jest w zasięgu wzroku. Wziął udział w tworzeniu kilku tomów z serii „Zapomniane miejsca” (Wydawnictwo CM). Jego fotografie pokazywane były już na wystawach, m.in. w Muzeum Ziemi Lubuskiej. Plonem pomysłu na ponowne „odkrycie” dawnych reprezentacyjnych siedzib na Ziemi Lubuskiej stała się kolejna wystawa Adama Sowy (MZL, 20 listopada – 31 grudnia 2019 r., kurator: Igor Myszkiewicz), ale przede wszystkim interesująca książka, swoisty przewodnik fotograficzny. W zamierzeniu autorów publikacja ta ma przybliżyć los zapomnianych już zabytków, należących do innych porządków i czasów. Znalazło się też miejsce na kilka lokalnych historii i legend.

O wyjątkowości tej książki stanowi kilka aspektów. Nietypowe fotografie niby pokazują brzydotę i zapuszczenie opisywanych miejsc. Nie są to typowe „śliczne widoczki”, lecz na zdjęciach A. Sowy są jednak piękne. Sprawiają to ujęte detale, przebłyski słońca, plamy kolorystyczne tworzone przez roślinność i nastrój tych obrazów. Tekst napisany przez A. Łobodzińską nie jest zlepkiem suchych informacji dotyczących każdego kolejnego obiektu. Zawiera oczywiście pewne dane historyczne i architektoniczne, ale można łatwo wywnioskować, że autorka była w każdym z opisywanych przez siebie miejsc i wplotła w opis swoje odczucia, emocje. Widać, co ją zaciekało, na co chciałaby, żebyśmy zwrócili uwagę, co może nas tam spotkać. Przykładowo, w zamku w Białowicach wyjdzie nam naprzeciw przyjaźnie nastawiona koza. Pałac w Dłużku natomiast pokrywa ogromna ilość pajęczyn, szczególnie w okiennicach. Takie historie wzbudzają ciekawość i skłaniają do samodzielnego odwiedzenia tych miejsc. Planowanie wycieczki ułatwiają informacje, jak dojechać do każdego opisywanego miejsca (numer drogi, położenie topograficzne), ale także i uwagi autorki co do najkorzystniejszego punktu obserwacyjnego, nastawienia gospodarzy, a nawet pory roku, w której obiekt najlepiej się prezentuje.

Warto też podkreślić zaangażowanie autorów w zachowanie dziedzictwa kulturowego. Bardzo duży nacisk postawili oni na fakt, że znaczna część przedstawionych obiektów uległa



„Lubuskie zamki i pałace w obiektywie Adama Sowy”, tekst Aleksandra Mrówka Łobodzińska, fotografie Adam Sowa, wyd. Stowarzyszenie Forum Art, Zielona Góra 2019, 256 s.

dewastacji lub popadła w ruinę. Uświadamiają nam to dobitnie fotografie. Na szczęście sporo zabytkowych zamków i pałaców poddawane jest remontom i renowacjom, działają w nich hotele, funkcjonują różne stowarzyszenia, są też mieszkania prywatne. Przykładem tutaj jest pałac w Bojadłach, poddawany systematycznemu remontowi, w którym znajduje się siedziba fundacji i mieszkanie właścicieli.

Zbliżają się miesiące wiosenno-letnie, a publikacja „Lubuskie zamki i pałace” na pewno pomoże nam zapełnić wakacyjny czas w sposób interesujący. Warto pokusić się o wycieczkę rowerową do bliżej położonych miejscowości, w których znajdują się siedziby ludzkie – tak interesująco przedstawieni przez duet autorski najpiękniejsi i najcenniejsi świadkowie minionego życia.

WAWRZYNY NAUKOWE

Spośród 25 książek zgłoszonych do Lubuskiego Wawrzynu Naukowego, wydanych w 2019 roku, komisja konkursowa wybrała sześć. Pomiędzy nominowanymi była opowieść członka naszego stowarzyszenia Grzegorza Biszczanika „Nieznane twarze Zielonej Góry”, o której pisaliśmy w poprzednim numerze „NW”. Za tę pracę G. Biszczanik otrzymał dyplom i nagrodę rektora Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w kategorii książka popularnonaukowa. Wśród nich także znalazła się opowieść fotograficzna Adama Sowy z tekstem Aleksandry Mrówki Łobodzińskiej.

Robert Rudiak

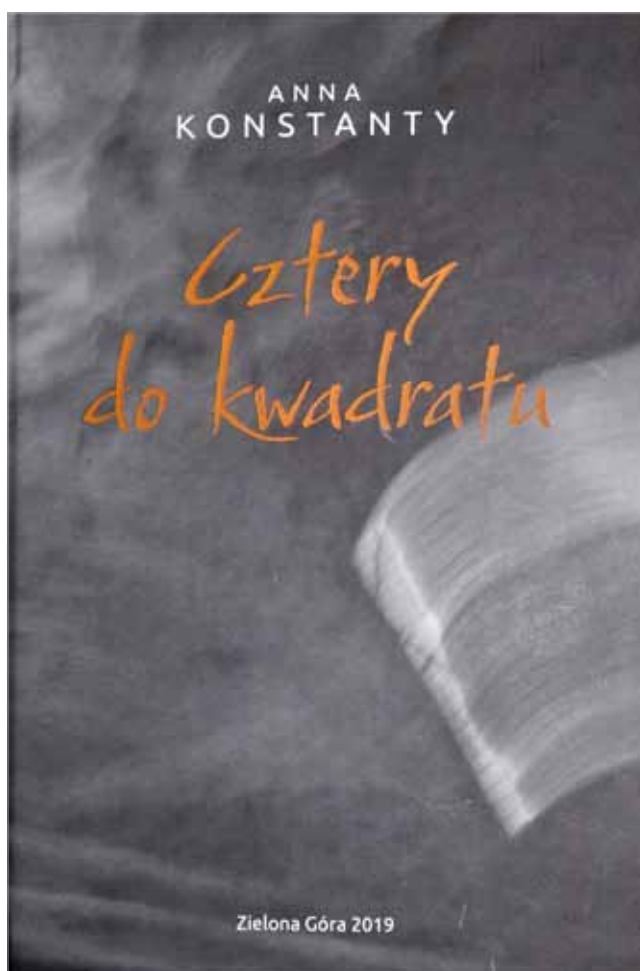
Ludzie pragną kochać i być kochani

Odnalezienie miłości i zrozumienie drugiego człowieka to dwa zasadnicze wątki opowiadań gubińskiej pisarki. Wokół nich koncentruje się fabuła wielu jej tekstów.

Anna Konstanty, pisarka pochodząca z Chlebowa, zamieszkała w Gubinie wraz z mężem i dwojgiem dzieci, z wykształcenia ekonomista po Uniwersytecie Zielonogórskim, na co dzień kierownik działu finansów oświaty i kadr Urzędu Gminy, zadebiutowała zbiorem „Wiosna i inne opowiadania” w 2016, a rok później wydała powieść obyczajową „To był maj”. Pisarka dość szybko i drapieżnie weszła na salony literackie, zdobywając rzesze czytelników w kraju, po drodze zdobywając laury w wielu konkursach prozatorskich. W 2018 r. opowiadaniem „Dziewczynka z zapalniczką” wygrała ogólnopolski konkurs na utwór o tematyce zielonogórskiej zorganizowany przez Towarzystwo Miłośników Zielonej Góry „Winnica”, otrzymując w nagrodę wydanie książki. Właśnie pod koniec ubiegłego roku ukazał się ów tom opowiadań A. Konstanty „Cztery do kwadratu”, wydany przez stowarzyszenie Winnica.

Autorka w najnowszej publikacji zamieściła szesnaście opowiadań podzielonych tematycznie na cztery części: Odrobina magii, Małżeństwo, Samotność i Poszukiwanie, a w każdym rozdziale zawarła cztery utwory. We wstępie do zbioru A. Konstanty napisała, że każdy z jej tekstów rodził się z obserwacji, zdarzeń i przeżytych wrażeń, okruczeń słów i myśli, pozornie błahych, ale zapadających w pamięć. I tak jest w istocie. Opowieści wywodzi pisarka na wskroś z wnikliwej obserwacji codziennych sytuacji, zachowań ludzkich, postaw wobec drugiego człowieka, wypowiedzianych zdań i przemilczanych głębokich myśli. Kanwą jej opowiadań jest szary człowiek, zwykle nieporadny lub zagubiony życiowo, z pogmatwanym życiorysem, kobieta po licznych emocjonalnych przejściach lub taka, która czeka na nowy związek uczuciowy, mając nadzieję na odmianę losu i własnego życia. Bohaterowie nie znoszą stagnacji ani zawieszenia, przełamują stereotypy, wychodzą z własnych skorup, łamią ograniczające ich bariery społeczne lub psychiczne, aby spróbować życia na nowo. Pokonują wytworzoną wokół nich próżnię samotności, marazm społeczny, gorliwie szukają miłości, która niesie uzdrawiającą moc, a przede wszystkim przywraca wiarę w humanistyczne wartości. Autorka wierzy w człowieka, jest niepoprawną optymistką, czasem naiwną, czasem wyrafinowaną, choć w jej opowieściach główny bohater obok wielkich zdolności do poświęcenia i miłości posiada taką samą zdolność do destrukcji związku i demoralizacji otoczenia.

Pisarka ukazuje często świat zepsuty, niekiedy jej bohaterowie są rozchwiani emocjonalnie lub pozbawieni uczuć



Anna Konstanty: „Cztery do kwadratu”, wyd. Towarzystwo Miłośników Zielonej Góry „Winnica”, Zielona Góra 2019, s. 150

wyższych nie cofną się przed niczym w dążeniu do sukcesów, w pogoni za pracą, karierą, pieniędzmi zatracają się, gubiąc po drodze to, co najważniejsze – bliskość drugiej osoby, najbliższych, przyjaciół, ognisko domowe. Taki rodzaj obrazowania inspirowa autorkę, nakreśla ciąg przyczynowo-skutkowy fabuły utworów, zmusza do poszukiwania okruczeń człowieczeństwa. A. Konstanty nie chce do końca odhumanizować swoich bohaterów, wręcz przeciwnie, stara się ocalić w nich fundamentalne wartości, przywrócić wiarę w drugiego człowieka, stąd tak zaskakujące są finałowe sceny jej opowiadań. Ukazuje w nich często metamorfozę postaw swoich bohaterów, odmianę w postrzeganiu, rozumieniu i odczuwaniu rzeczywistości, która zawsze wydaje się okrutna i nieprzystępna dla ludzi uduchowionych, uwznioślonych, marzycieli i romantyków, szukających na przekór losowi dobra, przyjaźni i miłości. W takim postrzeganiu świata celują bohaterowie opowieści – Michał w „Wystawofobii”, mąż Anny w „Zmianie”, komendant policji w „Kontrabasie”, ksiądz proboszcz w „Sprawiedliwości”, bohater w „Śmietniku”, Irenka i dyrektorka poradni psychologicznej w „Mamie” oraz bohaterowie opowieści „Muza”, „Odwyk” i „Sklep”.

Ale są też postacie, które pod wpływem innych osób lub nieprzewidzianych okoliczności przechodzą duchową przemianę, jak Rudy w „Dziewczynce z zapalniczką”, Hania w utworze „Chleba naszego”, czy główna bohaterka „Dnia Kobiet”. Inne utwory, z nutą kryminalną jak „Ogród” czy

„Mniejsze zło” budują dodatkowe napięcie, a ich bohaterowie ukazują swoje ciemne charaktery, choć w gruncie są ludźmi zagubionymi i wrażliwymi, ale ich postawy zmieniają się pod wpływem konfliktów zaborczych i trudnych partnerów.

Szczególnie interesująco prezentują się opowieści z ostatniego cyklu zatytułowanego *Poszukiwanie*. W tej bowiem części bohaterowie utworów A. Konstany są przedstawieni jako osoby niezwykle subtelne i delikatne. Ich obraz psychologiczny jest odmalowany najpełniej, motywacje wyraziste, pogłębione emocjonalną analizą, a ich postawy życiowe mocno osadzone na gruncie humanistycznej aksjologii. Oni nie muszą poszukiwać człowieczeństwa ani wiary w ideały, nie muszą się stawać bardziej ludzcy, oni są ludźmi w pełni ukształtowanymi, a poszukują tylko głębszych wymiarów sercowych i duchowych, docierają do istoty człowieczeństwa, do najgłębszych pokładów ludzkiej egzystencji, do wartości naczelných.

Odnalezienie miłości i zrozumienie drugiego człowieka to dwa zasadnicze wątki opowiadań gubińskiej pisarki. Wokół nich koncentruje się fabuła wielu jej tekstów. Ludzie pragną kochać i być kochani, szukając prawdziwych uczuć i ich odwzajemnienia, ale niekiedy mijają ją, gubią, zaprzepaszczają, czy to z winy nieśmiałości czy też paradoksalnie – z powodu narzuconych surowych schematów międzyludzkich, w których pozostają uwikłani i nie potrafią ich przełamać w imię autentycznych uczuć. Stąd ostatnie opowiadanie „Sklep” narrator kończy słowami: „I trwają tak od kilku lat, ona w marzeniach pogrążona, on w tęsknocie za nią, ale żadne nie chce wyznać, że uczucia spragnione wzajemności kłębią się w ich sercach. Bo jest coś takiego w człowieku, że nie lubi pierwszy mówić o miłości”.

Jednak wiara w człowieka, w jego dobroć, miłość, zdolność do altruistycznych uczuć – jak wspomniałem – zwycięża w prozie A. Konstany, można rzec, że zwycięża mimo wszystko, mimo wszelkich przeciwności losu, piekła i okrucieństwa, jakie może zgotować drugi, często najbliższy sercu człowiek.

W wielu opowieściach A. Konstany przewijają się wątki zielonogórskie, obrazki z życia miasta, jego topografii, jak w opowiadaniach „Dziewczynka z zapalniczką”, „Dzień Kobiet”, „Mniejsze zło” czy „Kontrabas”. Stąd odnaleźć tu można i zielonogórski deptak z jego bachusikami, park Tysiąclecia czy też uliczki w sąsiedztwie Starego Rynku, poniemieckie kamieniczki z obskurnymi podwórkami oraz znane obiekty, jak galeria Focus czy hotel Amadeus. Topos miejsca jest ważny w tekstach A. Konstany nie mniej niż same motywy jej opowieści koncentrujące się głównie wokół problemu samotności i uporczywego poszukiwania przyjaźni i prawdziwej miłości, a niekiedy są wyrazicielem zwykłych ludzkich potrzeb czy odruchów empatii – wysłuchania, zrozumienia, okazania serca czy współczucia.

Prozę A. Konstany czyta się lekko z uwagi na wartką akcję, zmienne losy bohaterów, ciekawą wiwisekcję ich uczuciowych doznań i przemyśleń. Jest w nich duża doza humoru, ale też nostalgii i smutku, jest szczypta melancholii, są liczne wątki romansowe, przygodowe i detektywistyczne. Wszystko więc, co potrzebne jest dobrej książce, która intryguje i szybko wchłania czytelnika w świat przedstawiony. Warto zatem sięgnąć po najnowszy zbiór opowiadań „Cztery do kwadratu”.

6 Konkurs literacki o tematyce zielonogórskiej

I. Postanowienia ogólne regulaminu

Organizatorem konkursu jest Towarzystwo Miłośników Zielonej Góry „Winnica”.

II. Prace konkursowe

1. Praca powinna mieć formę poetycką lub prozatorską (opowiadanie, legenda, esej).
2. Tematyka prac konkursowych jest dowolna. Praca musi jednakże w swej treści nawiązywać do tematu Zielonej Góry.
3. Prace nadesłane na konkurs muszą stanowić od początku do końca twórczość własną uczestnika konkursu. Tekst nie może być wcześniej nagradzany.

III. Zgłoszenie udziału w konkursie

1. Prace konkursowe nieprzekraczające 10 stron w trzech egzemplarzach (1800 znaków na stronie) należy przesyłać tradycyjną pocztą pod adresem: Towarzystwo Miłośników Zielonej Góry „Winnica”, ul. Lisia 37, 65-093 Zielona Góra. Każda praca powinna być podpisana godłem. W kopercie opatrzonej tym samym godłem proszę umieścić dane autora (imię i nazwisko, adres, e-mail, telefon). Przesyłkę należy podpisać: „Konkurs na utwór zielonogórski”. Ponadto utwór zapisany w formacie doc/docx lub pdf należy przesłać pocztą elektroniczną pod adresem: tmzg-winnica@o2.pl. W tytule maila proszę napisać „Konkurs na utwór zielonogórski”.

2. Przesyłając pracę na konkurs uczestnik konkursu:

- a) oświadcza, że jest autorem zgłoszonej pracy i przyjmuje pełną odpowiedzialność w przypadku zgłoszenia roszczeń przez osoby trzecie z tytułu naruszenia ich praw autorskich;
- b) wyraża zgodę na opublikowanie swojego imienia, nazwiska oraz treści pracy.

IV. Rozstrzygnięcie konkursu

1. Prace oceniać będzie jury.
2. Nominowani zostaną poinformowani o wyróżnieniu drogą telefoniczną lub mailową.
3. Uchonorowanie laureata nastąpi podczas gali w październiku br.
4. Decyzje komisji konkursowej są ostateczne i nie podlegają procedurze odwoławczej.

V. Nagrody i wyróżnienia

1. Nagrodą główną jest dyplom i wydanie książki laureata (który przekaże materiał do druku organizatorom konkursu do 31 maja 2021 r.).
2. Nagrody nie mogą być wymienione na ekwiwalent pieniężny.

VI. Terminy

1. Termin nadsyłania i zgłaszania prac – 15 września 2020 r.
2. Ogłoszenie trzech nominacji – 12 października 2020 r.
3. Uroczysta gala wręczenia nagród odbędzie się w październiku.

VII. Postanowienia końcowe

1. Zgłoszenie jest jednoznaczne z akceptowaniem warunków regulaminu konkursu.
2. Organizator nie ponosi odpowiedzialności za jakiegokolwiek szkody dotyczące nadsyłanych utworów powstałe z winy systemów komputerowych lub osób trzecich.
3. Organizator w uzasadnionych przypadkach zastrzega sobie prawo do odmiennego niż przedstawiony powyżej podziału nagród.
4. Wszystkie prace zgłoszone do konkursu stają się własnością organizatora. Autorzy przenoszą na organizatorów prawa autorskie, tj. prawa do publikacji drukiem, prawa do przenoszenia dzieła na nośniki elektroniczne, prawa do publikacji na stronie Towarzystwa.
5. W sprawach nieobjętych niniejszym regulaminem decydują organizatorzy.
6. Wszelkie pytania odnośnie konkursu należy kierować bezpośrednio do organizatora, pod adresem: tmzg-winnica@o2.pl.

Szczegółowy regulamin znajduje się na www.tmzg.org.pl

Z szumnych zapowiedzi pozostało... echo

Czym drugie – po pięciu latach od pierwszego – wydanie książki Anny Tokarskiej „Wiersze wybrane” różni się od pierwowzoru? Właściwie niczym, jest niemal wierną kalką wydania pierwszego.

Kiedy we wrześniu 2019 roku Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna im. Cypriana Norwida w Zielonej Górze ogłosiła wielką akcję zbiórki pieniędzy na wydanie nowego zbioru wierszy Anny Tokarskiej, w którym miały znaleźć się także niepublikowane dotąd jej utwory, zrobiło się naprawdę głośno. Czekano bowiem na nowy, a na pewno na zupełnie inny tom wierszy zmarłej sześć lat temu poetki. Publiczna zbiórka pieniędzy na szczytny cel ruszyła pełną parą na internetowym portalu zrzutka.pl. Biblioteka planowała zebrać 4 tys. zł na wydanie książki. Akcja trwała trzy miesiące, wpłaciło jedenaście podmiotów, głównie osób fizycznych, które wpłacały od 20 do 200 zł. Zebrano 621 zł, co stanowiło 15 proc. oczekiwanej kwoty. Może zastanowić ten jeden złoty na końcu zebranej sumy. Otóż tę jedyną złotówkę na ten szczytny cel wpłacił nie kto inny, tylko sama zielonogórska biblioteka! Sam pomysłodawca akcji wpłacając 1 zł (słownie: jeden złoty) sam pokazał jak bardzo zależy mu na samej zbiórce, okazał własną „hojność” i co tu dużo mówić – zniechęcił tym samym innych do przekazywania znacznie większych kwot. Książkę wydano więc przy wsparciu finansowym znanej zielonogórskiej spółki akcyjnej.

Co zatem z wpłat darczyńców „wysmażyła” literackiego wojewódzka książnica? Ano nic poza odgrzewanym kotлетem, czyli powieleniem wydania książki A. Tokarskiej z 2014 r. „Wiersze wybrane”, które wydało wówczas Lubuskie Stowarzyszenie Miłośników Działań Kulturalnych „Debiut” i oficyna biblioteczna Pro Libris. Na ówczesny, pośmiertny wybór złożyły się wiersze laureatki Lubuskiego Wawrzynu Literackiego z jej wcześniej wydanych

sześciu tomików: „Monologi o niepamięci” (1970), „Zapis wędrowny” (1975), „Ból pozornie za duży” (1976), „Portret z ptakiem” (1990), „Moje wiersze posiwiały” (1997) i „W białym mieszkaniu” (2001). Redaktorem wydania tego wyboru był dyrektor zielonogórskiej biblioteki Andrzej Buck. W książce znalazła się ponadto bibliografia poetki wykonana przez Monikę Gumienną i Pawła Liehhebera. W sumie 64 utwory poetyckie i 153 pozycje w wykazie bibliograficznym pomieszczone na stu stronach.

Czy zatem drugie – po pięciu latach od pierwszego – wydanie książki A. Tokarskiej „Wiersze wybrane” różni się od pierwowzoru? Właściwie niczym, jest niemal wierną kalką wydania pierwszego. W zasadzie nic nie uległo zmianie, ani liczba czy kolejność zamieszczonych wierszy, ani ilustracji dołączonych do tomu czy fotografii na okładce, ani też zawartość opisu bibliograficznego. Właściwie niemal wszystko pozostało bez zmian. Nie doszły więc ani nowe, nieznane wiersze A. Tokarskiej, które tak szumnie zapowiadał w mediach dyrektor księżnicy, zachęcając czytelników do zbiórki pieniędzy, ani też wydawca, czyli biblioteczna oficyna Pro Libris nic znaczącego nie dodała czy też zmieniła w stosunku do jej poprzedniego układu, zawartości, kształtu czy szaty graficznej. A to może dziwić, gdyż od czasu śmierci poetki pozornie niewiele zaszło zmian, a jednak zaszło i to uważam należało szczególnie uwypuklić w nowym wydaniu.

Po odejściu A. Tokarskiej w październiku 2013 r. jej imieniem nazwano Festiwal Literacki „Proza Poetów” i już choćby ta wzmianka winna znaleźć się w opisie bibliograficznym. Festiwal bowiem jest literackim świętem upamiętniającym zielonogórską pisarkę. Niemal co roku odbywa się przypomnienie osoby patronki festiwalu poprzez recytację jej twórczości. Aż prosi się, aby w tym miejscu wspomnieć te wydarzenia, a jeszcze lepiej okraszyć jej kilkoma fotografiami z festiwalu czy choćby samymi plakatami lub afiszami z jego



Anna Tokarska: „Wiersze wybrane”, wyd. Pro Libris, Zielona 2019, 101 s.

przebiegu, gdyż gościło na nim wielu znanych w kraju artystów – pisarzy, poetów, krytyków i aktorów.

W 2015 r. ukazał się tomik wierszy „Anna” Mirosławy Szott poświęcony w całości nieżyjącej pisarce. Rzecz wydana przez Towarzystwo Miłośników Zielonej Góry „Winnica” była swoistym hołdem autorki złożonym właśnie zielonogórskiej poetce. To również istotna informacja, która winna znaleźć się w opisie bibliograficznym, tym bardziej że książka M. Szott wzbudziła duże zainteresowanie czytelnicze i niezwykle ciepłe przyjęcie przez krytyków.

Kolejna ważna informacja jaka winna znaleźć we wznowionej publikacji Pro Libris dotyczy filmu dokumentalnego „Nieparzysta. Opowieść o Annie Tokarskiej” zrealizowanego w 2018 r.

Właśnie fragmenty recenzji krytycznoliterackich czy wspomnień o poetce winny znaleźć się w najnowszej publikacji oficyny Pro Libris. Mogły też być zamieszczone różnorodne fotografie A. Tokarskiej z różnych okresów jej życia, zdjęcia jej rękopisów czy okładek książek. Nie szkodziło też rozbudować biografię poetki o nowe, mało znane fakty z jej życia; była przecież redaktorką kilku pism lokalnych jak „Prosto z Zielonogórskiego Ratusza”, o czym nie wspomina się w jej życiorysie na ostatniej stronie okładki. A. Tokarska większość życia zawodowego związała na Wyższej Szkole Pedagogicznej i Lubuskim Teatrem, ale pełniła też

ważne funkcje przewodniczącej komisji rewizyjnej i sekretarza w zarządzie zielonogórskiego oddziału Związku Literatów Polskich, do którego należała przez pięć lat. Odeszła z chwilą rozwiązania struktur związkowych w stanie wojennym. Wcześniej autorka również pełniła istotne funkcje np. przewodniczącej zielonogórskiego ośrodka Korespondencyjnego Klubu Młodych Pisarzy w latach 1969-1972 oraz przewodniczącej Koła Młodych Pisarzy przy zarządzie oddziału ZLP w okresie 1971-1974, a także przewodniczyła Klubowi Początkujących Literatów przy ZLP w latach 1975-1976. Można było też zawrzeć ciekawe fakty z jej życia osobistego, nauki w Kutnie, pracy w Łodzi, studiów w Warszawie, wspomnieć o jej rodzicach, którzy w czasie okupacji przeszli piekło i udzielali się w ruchu oporu.

Wiele do życzenia pozostawia też załączona bibliografia do wznowionego zbiorku A. Tokarskiej, prawie wcale nie uzupełniona o nowe fakty, jakby po jej śmierci czas się zatrzymał i nic już się nie wydarzyło. W bibliografii podmiotowej nie wymienia się choćby wydanego w 2014 r. tomu „Wiersze wybrane” czy też pojedynczych wierszy poetki, jakie ukazały się po 2008 r. lub po jej odejściu.

Istotną koncepcją mogło być zamieszczenie w bibliografii dodatkowego działu z wykazem wierszy lubuskich poetów poświęconych A. Tokarskiej za jej życia lub po śmierci, a także zaprezentowanie niektórych np. Katarzyny Jarosz-Rabiej czy choćby kilku ze wspomnianego tomu liryków „Anna” M. Szott.

Niewykorzystaną ideą w akcji zbierania funduszy na wydanie książki A. Tokarskiej było niewystosowanie apelu do jej przyjaciół z teatru, aktorów, dziennikarzy czy lubuskich literatów, z których wielu wyłożyłoby pieniądze choćby na zakup jednego czy dwóch nowych zbiorów poetki. Myślę, że spore grono zrzuciłoby się na tę publikację, a w dobrym tonie wydawcy byłoby zamieszczenie listy donatorów w książce. Z owych dziesięciu internetowych ofiarodawców, którzy wpłacili pieniądze na portalu zrzutka.pl wydawca w żaden sposób ani nie uhonorował darczyńców, ani nawet im nie podziękował w wydanej publikacji. Ba, nawet o ich pomocy słowem nigdzie nie wspomniął, jakby wcale nie brali udziału w kweście i nie pomogli finansowo w ukazaniu się książki.

A przecież możliwości do zbiorów pieniędzy biblioteka zielonogórska miała bez liku, choćby w czasie różnorodnych wieczorów autorskich, w trakcie gali wręczania lubuskich wawrynowów czy spotkań w ramach festiwalu literackiego jej patronki, jak też poprzez sprzedaż cegiełek wśród czytelników lub uczestników Czwartków Lubuskich. O szerszym poszukiwaniu potencjalnych sponsorów pośród miejscowych zakładów pracy, związków, organizacji czy stowarzyszeń nawet nie wspomnę, a przecież można było zaoferować im w zamian zamieszczenie barwnych reklam na końcu publikacji. Licznych kontrahentów i instytucji pomocowych WIMBP nie brakuje.

Mankamentów w książce jest wiele, a mogła być to naprawdę interesująca publikacja poświęcona jednej z ciekawszych postaci zielonogórskiego środowiska literackiego. Wystarczyło włożyć w jej przygotowanie nieco pomysłów, trochę kreatywności, więcej serca i zapału. W licznych zapowiedziach w prasie czy w Internecie organizatorzy akcji pisali m.in., że „celem naszej zbiórki jest zgromadzenie środków potrzebnych na wydanie tomiku wierszy Anny Tokarskiej – poetki, zwanej zielonogórską Poświatowską (...) Jej ponadczasową twórczość chcielibyśmy zawrzeć w jednej starannie wydanej publikacji. Będzie to ukłon w stronę wielkiej artystki, patronki Festiwalu Literackiego – Proza Poetów”. Sam inicjator akcji i redaktor wyboru wierszy A. Tokarskiej dr Buck w październiku 2019 r. w Radiu Index tak zapowiadał wydanie książki poetki: „Publiczność czytająca bardzo domaga się zbioru »Wiersze zebrane«. Pracuję w tej chwili nad tym, żeby wszystkie teksty publikowane (i trochę też zostało niepublikowanych, w rękopisach) znalazły się w tym zbiorze, dlatego że ostatnie zbiórki zostały praktycznie wyczerpane. A jednak, jak może rzadko który poeta regionalny, ta pisarka jest czytana. I jest taka presja, żeby wznowić i zebrać tę całą twórczość”.

Szkoda, że z medialnego szumu, zbiórki pieniędzy, głośnych zapowiedzi pracowników i dyrektora księżnicy oraz wydawcy, poza kopią książki z 2014 r., nie zrobiono praktycznie nic. A tym samym nie uhonorowano naszej zielonogórskiej Safony w godny sposób. Szkoda, wielka szkoda...

Zielonogórska Nagroda Literacka Winiarka 2020

Zielonogórska Nagroda Literacka „Winiarka” jest przyznawana przez Towarzystwo Miłośników Zielonej Góry „Winnica” za szeroko pojętą działalność pisarską:

- prace poetyckie i prozatorskie sytuujące Zieloną Górę jako miejsce akcji i jako podmiot ekspresji twórczej,
- dzieła autorstwa lokalnych poetów, pisarzy, dziennikarzy i innych osób, których prace wyróżniają się znakomitą warsztatowością literacką,
- prace naukowe odnoszące się do popularyzacji literatury regionu,
- prace publicystyczne uwzględniające dzieje miasta i jego najważniejszych obywateli.

W wyjątkowych przypadkach – dla osób, instytucji i stowarzyszeń, będących animatorami działań literackich oraz promotorami literatów, a także dla wydawców za szczególną staranność i urodę realizowanych publikacji.

Kandydatów do nagrody mogą zgłaszać instytucje, stowarzyszenia i osoby prywatne przesyłając pisemny wniosek pod adresem: Towarzystwo Miłośników Zielonej Góry „Winnica”, ul. Lisia 37, 65-093 Zielona Góra lub e-mail: tmzg-winnica@o2.pl do 15 września 2020 r.

Nagroda przyznawana jest raz w roku. Laureatem wyróżnienia można zostać tylko jeden raz.

Decyzję o przyznaniu nagrody podejmie kapituła powołana przez zarząd TMZG „Winnica”.



Emilia Ćwilińska
Anitta Maksymowicz

Wizerunek „Studiów Zielonogórskich”

„Studia Zielonogórskie” stanowią wyjątkowe, wciąż poszerzane i nieustannie aktualizowane, obszernie kompendium wiedzy o Zielonej Górze. W bieżącym roku ukaże się jubileuszowy 25. numer rocznika.

Historia rocznika sięga 1995 roku. Pierwszy numer ukazał się, by uczcić 40 lat istnienia zielonogórskiego oddziału Polskiego Towarzystwa Historycznego. Pomysłodawcą i redaktorem naczelnym jest dr Andrzej Toczewski, który wówczas był prezesem oddziału PTH. Kolejne numery pisma pokazują, że jest ono wyrazem historycznych zainteresowań jego twórcy. Wyrazem pasji związanej z poszukiwaniem, ustalaniem, badaniem, tworzeniem i wzmacnianiem poczucia tożsamości regionalnej. Głównym tematem rocznika jest miasto – jego historia i teraźniejszość, od zarania po współczesność, a w tym rozmaite aspekty życia społecznego, kulturalnego, gospodarczego i politycznego. A. Toczewski stara się, by dzieje Zielonej Góry ukazywać w jak najszerszym kontekście, udostępnia łamy reprezentantom różnych dyscyplin naukowych i rozmaitych społeczności. Na łamach „SZ” prowadzone były dyskusje i polemiki m.in. dotyczące całego naszego regionu. W efekcie rocznik przyczynia się do upowszechniania wiedzy o historii, tradycjach, kulturze, życiu codziennym Zielonej Góry i Ziemi Lubuskiej w przeszłości i obecnie.

Wśród prezentowanych artykułów można znaleźć całe spektrum tematów: począwszy od archeologii, geografii, socjologii, przez historię średniowieczną, nowożytną oraz najnowszą, do problematyki z zakresu ekonomii, prawa i administracji. Dużo miejsca zajmuje również nauka, oświata i szkolnictwo wyższe oraz kultura ze szczególnym uwzględnieniem muzeów, artystów, muzyki, a także zbiorów archiwalnych i bibliotecznych. Ponadto poruszana jest m.in.: problematyka polityczna, zdrowotna i wyznaniowa. Przedstawiana jest działalność dawnych i obecnie działających firm, przedsiębiorstw, stowarzyszeń, klubów i instytucji oraz sylwetki wybitnych, zasłużonych zielonogórczan. Mimo iż ideą pisma jest dokumentowanie życia Zielonej Góry, to nie zawęża się ono tylko do prezentacji miasta, ale ukazuje także dzieje i historię ludzi w różny sposób z miastem związanych, a działających poza Zieloną Górą.

Nieoceniona i imponująca jest rola A. Toczewskiego w nawiązywaniu kontaktów i poszerzaniu grona autorów. Do wydanych dotychczas 24 numerów „SZ” swoje teksty złożyło 237 autorów (w większości związanych z miastem). Niektórych z nich – ze względu na dużą liczbę artykułów – można nazwać stałymi współpracownikami. Łącznie opublikowano ponad 500 artykułów.

Inicjatywą dr. Toczewskiego jest też promocja ludzi aktywnych, działających z pasją na rzecz lokalnego środowiska. Stąd od 2000 r. redakcja „SZ” przyznaje honorową Nagrodę Laudant illa sed ista legunt (chwałą jednych, ale czytają innych). Wyróżniane osoby swoją pracą, twórczością,

działalnością wpływają na kształt Zielonej Góry, przyczyniają się do zachowania i upowszechniania pamięci o jej historii oraz do budowania tożsamości miasta i Ziemi Lubuskiej. Laureatami Nagrody są: dr Jan Muszyński (2000), prof. dr hab. Czesław Osękowski (2003), prof. dr hab. Jerzy Piotr Majchrzak (2004), dr hab. Zbigniew Bujkiewicz (2005), dr Stanisław Kowalski (2006), red. Tomasz Czyżniewski (2007), Lech Batkowski (2008), prof. dr hab. Leszek Jerzak (2009), red. Konrad Stanglewicz (2010), red. Alfred Siatecki (2011), prof. dr hab. Wojciech Strzyżewski (2012) i Janusz Kubicki (2015).

Z pewnością sukcesem redaktora naczelnego jest to, iż obecnie rocznik to najobszerniejsze, najbardziej wszechstronne źródło, w którym można znaleźć materiały do badań nad historią i współczesnością miasta. Zarówno badaczom dziejów Zielonej Góry, jak i osobom zainteresowanym miastem trudno byłoby dziś obejść się bez korzystania z zasobów rocznika.

Niewielkie, z początku planowane na kilka numerów wydawnictwo, nienależące do punktowanych, prestiżowych periodyków, okazało się pismem bardzo znaczącym, cieszącym się powodzeniem u czytelników. Rocznik jest wciąż bardzo potrzebny i oczekiwany, o czym świadczy nie tylko duża liczba zgłaszanych do teki wydawnictwa artykułów, ale przede wszystkim zainteresowanie odbiorców.

Inicjatywę, które z pozoru miała małe szanse powodzenia, za sprawą wspaniałych ludzi, ich pasji, niegasnącej potrzeby ciągłego odkrywania, badania, poznawania, zachowania dla potomnych, udało się przekuć w czyn, w konkretne działania i zapewnić jej długoletnią kontynuację.



Od redakcji: Już po zamknięciu numeru „NW” dotarła do nas smutna wiadomość. 20 marca zmarł dr Andrzej Toczewski. Był nie tylko redaktorem naczelnym „Studiów Zielonogórskich”, ale wcześniej dyrektorem Muzeum Ziemi Lubuskiej, sekretarzem Lubuskiego Towarzystwa Naukowego, dyrektorem Wydziału Kultury i Sportu Urzędu Wojewódzkiego. Napisał dziewięć książek, wśród nich „Kostrzyn 1945” i „Bitwa o Odrę w 1945 roku”. Był Honorowym Obywatel Zielonej Góry i Zasłużonym dla Miasta Kostrzyn nad Odrą. Miał 73 lata.

Tomasz Kowalski
Sylwester Woźniak

Od kabaretu Potem wszystko się zaczęło

U źródeł Zielonogórskiego Zagłębia Kabaretowego leży między innymi utworzenie formacji Potem. Należy przy tym stwierdzić, iż była to pierwsza grupa kabaretowa od czasów Zielonego Kota (por. „Na Winnicy” nr 1). Wprawdzie próby odrodzenia sztuki kabaretowej w Zielonej Górze były podejmowane w latach 60. i 70. ubiegłego wieku (por. „Na Winnicy” nr 2), jednak nic z tego nie wyszło.

Pojawienie się wśród studentów Wyższej Szkoły Pedagogicznej Władysława Sikory i Dariusza Kamysa całkowicie odmieniło tę sytuację. W mieście powstał profesjonalny kabaret Potem, który niemal od razu zaistniał w ogólnopolskiej świadomości miłośników tego rodzaju rozrywki. Właściwie jego utworzenie było w dużym stopniu rewolucją. Dotychczas kabaret kojarzył się z monologiem oraz śpiewem. Tak grali na przykład Tadeusz Drożdża i Jan Pietrzak. Skecze w tamtym okresie odgrywały kabarety Elita oraz Tey.

Formacja Potem została założona przez Krzysztofa Langerę i D. Kamysa zwanego Kamolem. Obaj byli studentami pedagogiki kulturalno-oświatowej kształcącej tzw. kaowców. Na obozie integracyjnym studentów Wyższej Szkoły Pedagogicznej dołączył do nich W. Sikora – absolwent Wyższej Szkoły Inżynierskiej. Założenie grupy kabaretowej było spowodowane rozpieszczającą ich energią i świetnym poczuciem humoru, a przede wszystkim chęcią dobrej zabawy. K. Langer był kolegą „Kamola” z roku i wśród żaków słynął ze zdolności organizacyjnych czy to chodziło o różne imprezy, czy o wszelkiego rodzaju improwizacje. To właśnie on sprowadził na jedną z imprez kabaretowych do klubu Zatem striptizerkę o pseudonimie artystycznym Amanda. Owa pani spowodowała niemałe zamieszanie w Zatemie, bowiem dość podejrzliwie podchodziła do występu w klubie studenckim. Była profesjonalistką i występowała w słynnym Topazie, z którego „maluchem” dowiózł ją Tomasz Kowalski. Striptizerka w zatemowskiej garderobie usiadła na stole, który natychmiast się pod nią załamał, co skwitowała: „No tak, wy tu studenci macie biedę”. Na scenie, gdy już rozpoczęła swój taniec, pianista zamiast grać do jej występu, zagapił się na nią, więc „Amanda” podbiegła do niego w ferworze krzyząc: „piano! piano!”.

Talent improwizacyjny K. Langerę przejawiał się na przykład w ten sposób, że gdy pewnego razu zapomniał słowa do piosenki „Zrób kabaret”, to na bieżąco wymyślał nowe w taki sposób, że miały one sens i absolutnie nikt się nie zorientował, iż zmyśla. K. Langer w końcu odszedł z kabaretu Potem. Chciał robić programy o zabarwieniu społeczno-politycznym, dlatego po pewnym czasie założył swoją własną grupę o nazwie Paka.

Częścią Potemów była również Ewa Sopielska. Warto przypomnieć, iż w latach 80. XX wieku na scenie dominowali mężczyźni. Panie sporadycznie towarzyszyły im w pojedynczych scenach. Z tego też powodu obecność kobiety w stałym zespole była w pewnym sensie przełomowa. E. Sopielska grała w sposób bardzo żywiołowy, charakteryzowała się dużą plastycznością twarzy. W 1987 roku poznała przyszłego męża i wyjechała do Warszawy.

Ważną postacią w kabarecie Potem była Joanna Chuda (obecnie Kołaczkowska), która karierę zaczynała w formacji Drugi Garnitur. Weszła ona do grupy w zastępstwie E. Sopielskiej. Szybko okazało się, że J. Chuda posiada dar interpretacji aktorskiej. Równocześnie stała się autorką tekstów.



Władysław Sikora i Joanna Chuda (obecnie Kołaczkowska), lata 90. XX wieku

fot. Archiwum autorów

Z czasem też w drużynie znalazł się Mirosław Gancarz. Wówczas był studentem wychowania muzycznego. Dysponował silnym głosem i doskonałym talentem muzycznym. Pierwsze kroki na scenie stawiał jeszcze w szkole średniej. Uwagę twórców kabaretu Potem zwrócił tym, iż wygrał Festiwal Piosenki Studenckiej „Włóczęga”. K. Langer przyjął go do swojego kabaretu Paka, ale potemowcy przekonali M. Gancarza, że z nimi będzie mógł lepiej pokazać swoje możliwości sceniczno-wokalne. W zespole M. Gancarz pełnił również rolę kierowcy oraz odpowiadał za logistykę. Jego bus renault, którym woził potemów, nawet dziś wygląda jak nowy.

Muzykiem kabaretu Potem był Adam „Smutny” Pernal. Stworzył wiele melodii i piosenek dla swojej formacji. Na jednej z Pak dostał osobistą nagrodę i wyróżnienie od Zygmunta Koniecznego. „Smutny” jest bohaterem wielu anegdot. Pewnego razu, kiedy już miał zasiadać do fortepianu, włożył rękę do kieszeni, w której miał... żyłkę. Skaleczony palec owinął kawałkiem... gazety i usiał do klawiatury, która po chwili zabarwiła się na czerwono. Przy okazji innego występu, kiedy „Smutny” miał już wychodzić na scenę, ktoś przechodzący obok zaczepił o jego kieszeń papierosem i żar wpadł do środka. A. Pernal grając już na scenie, poczuł pieczenie i najpierw zaczął klepać się jedną ręką po kieszeni, potem dwiema, wprawiając tym w zdziwienie kolegów i widzów. Popisowym numerem „Smutnego” było łamanie krzesła, na którym siedział przy pianinie. Robił to na każdym występie. Niestety, A. Pernal zmarł w wieku 49 lat pozostawiając po sobie wiele wspaniałych melodii i wspomnień.

W składzie potemów pojawili się też Leszek Jenek (obecnie kabaret Ciach) i Janusz Klimenko. Oczywiście wiele można pisać o wybitnych indywidualnościach, jakimi są członkowie kabaretu Potem. Jednak ważniejsza jest jego historia. Swoje pierwsze występy formacja miała z klubach studenckich Zatem i Gęba. W 1985 r. wyjechała na swój pierwszy konkurs – Pakę w Krakowie. Zielonogórcy kabareciarze mieli wówczas możliwość zetknięcia się z innymi zespołami, np. Koniem Polskim, Fajfem czy zespołem I z Poznania i z Torunia. Udział potemów jak na nowicjuszy nie skończył się źle. W. Sikora otrzymał nagrodę za osobowość. Skecz „Nieme kino” zwrócił uwagę jury, chociaż powstał z wyglupu. Trzeba dodać, iż inny skecz „Golfista” uznano za wulgarny. Do dzisiaj nikt z członków kabaretu nie przyznaje się do niego. Obecnie można go zobaczyć w internecie, więc nigdy nie zostanie zapomniany. Jednak sami artyści przyznają, że to najgorszy utwór w ich historii. Na nagraniu widać, jak W. Sikora i D. Kamys muszą uchylać się przed rzucanymi w nich pomidorami. Wedle relacji T. Kowalskiego sami artyści rozdali publiczności pomidory, gdyż w ten sposób chcieli fizycznie oraz duchowo oczyścić się z tak nieudanego dzieła. W. Sikora na końcu sam siebie oblewa sosem pomidorowym.

W trakcie trwania konkursu W. Sikora szybko zorientował się, o co właściwie w nim chodzi, po czym stwierdził, iż tak przygotowuje zespół, że wygra następną Pakę. Oczywiście dotrzymał swojego słowa i w 1986 r. kabaret Potem zdobył Grand Prix za skecz „Echo” i nagrodę za całokształt oraz nagrodę publiczności. Jakby było tego mało, E. Sopielska otrzymała nagrodę za największą osobowość przeglądu. Aby udowodnić, iż nie jest to przypadek, członkowie kabaretu postanowili powtórzyć sukces w roku następnym. W 1987 r. na Pace uzyskali Grand Prix za całokształt, co świadczy o tym,

jak dobry był ich program. Dostali również nagrodę publiczności. Trzeba zaznaczyć, że Paka była bardzo ciekawym przeglądem, bo oprócz występów dla publiczności były spotkania z psychologami, ale i z cenzorami, którzy tłumaczyli, dlaczego cenzura jest potrzebna, także ze specami od animacji z Wytwórni Filmów Animowanych w Bielsku-Białej. Z drugiej strony był to konkurs, gdzie członkami jury byli uznani twórcy scen polskich, np. Stanisław Tym, Piotr Skrzynecki z Piwnicy pod Baranami, Andrzej Mleczko, Michał Ogórek, a także mistrz skoku o tyczce Władysław Kozakiewicz. To na podstawie jego słynnego gestu zaprojektowano logo Paka, które obowiązywało przez kilka lat. Otrzymanie wyróżnienia lub nagrody od takiego składu sędziowskiego było czymś znaczącym.

W tym samym roku kabaret Potem zdobył I nagrodę na Festiwalu Piosenki Studenckiej w Krakowie, a oprócz tego na Festiwalu Piosenki Satyrycznej w Łodzi „A psik” również I nagrodę. I to właśnie był początek ich kariery.

W dużej mierze programy kabaretu Potem uchodzą za apolityczne. Nie jest to do końca prawdą, gdyż tematy te są mocno schowane za cieniem aluzji. Jednym z takich skeczy jest np. parodia opery, gdzie śpiewano „Przekonamy Amerykę, Niemcy i Chiny, że robimy groźne miny”. W numerze „Echo” wspomniano o brakach w zaopatrzeniu. W innym skeczu z lat 80. XX w., który okazał się proroczy, aktorzy siedzieli przy komputerze wielkości współczesnego laptopa.

Po raz pierwszy swoją działalność kabaret zawiesił w 1988 r. Przerwa trwała rok, a od tego momentu Potem grał nieprzerwanie do 1999. W tej drugiej fazie działalności o wiele większą uwagę przywiązywano do pisania programów i ich przygotowywania. To wówczas powstały tak istotne dla polskiej sztuki kabaretowej przedstawienia, jak „Sny i zmyry im. sierżanta Zdyba”, „Bajki dla potłuczonych” czy „Z Kolbergiem przez świat”.

W 1999 r. kabaret się rozwiązał. Zdaniem W. Sikory trzeba było to zrobić w jego najlepszym czasie, gdyż należy odchodzić z twarzą, nie zaś kiedy wypalą się twórcze moce. Działalność formacji Potem była niezwykle istotna dla rozwoju miejscowego środowiska kabaretowego. Stanowi ona niejako źródło Zielonogórskiego Zagłębia Kabaretowego. To w oparciu o członków kabaretu Potem mogły powstać inne grupy, jak np. Drugi Garnitur, Formacja Zaś lub Teatr Absurdu Żżż... Ciekawe jest to, iż większość z nich powstała w trakcie przerwy w działalności Potemów w latach 1988-1989.

Wówczas to W. Sikora i D. Kamys swój talent pożytkowali ucząc młode pokolenia adeptów sztuki kabaretowej. T. Kowalski wspomina, iż w trakcie przygotowywania programu kabaretowego opartego na wierszach z epoki socrealizmu wszyscy zainteresowani otrzymywali tekst do nauki. W trakcie prób dokonywano selekcji. Zostawali jedynie ci, u których D. Kamys i W. Sikora widzieli załączki talentu. To właśnie na bazie tych osób powstały różne nowe grupy kabaretowe.

21-23 sierpnia 2020 r.

2. Światowy Złot Fanów Kabaretu Potem w ramach Lata Muz Wszelakich odbędzie się w Zielonej Górze m.in. na polanie przed amfiteatrem

Andrzej Flügel

Za murami przy Łużyckiej

Gdyby ktoś wcześniej powiedział, że dziesięć lat spędzę za kratami jako funkcjonariusz służby więziennej, popukałbym się w głowę. Ja, człowiek, który był zaprzeczeniem tego, co niesie za sobą służba mundurowa.

Po ukończeniu historii w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Zielonej Górze bardzo chciałem uczyć. Jeszcze studiując, wraz z żoną, też pedagogiem, przenieśliśmy się do Stegny Gdańskiej. Dostaliśmy dwupokojowe mieszkanie, żona etat, ja obietnicę tego samego po ukończeniu studiów. Postanowiliśmy, że przez ostatni rok moje przenosiny na studia w Gdańsku nie mają sensu, żona z synkiem mieszkała więc w Stegnie, a ja ich tylko odwiedzałem. Po obronie pracy zamiast obiecane etatu historyka, dyrektor szkoły zaproponował mi komendanturę hufca ZHP (harcerstwo było wówczas wręcz zetetyzowane i podłączone pod oświatę) i kilka godzin nauczania. Nie byłem zadowolony.

A potem był ten przypadek, który zmienił moje i nasze życie. Wraz z kilkoma kolegami, którzy podobnie jak ja pisali prace magisterskie o zbrodniach hitlerowskich na Ziemi Lubuskiej, korzystając z archiwów Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce, pojechaliśmy do jej szefa z bukietem kwiatów i podziękowaniem za pomoc. W trakcie rozmowy pytał, gdzie będziemy pracować i czy jesteśmy zadowoleni.

Powiedziałem, że nie bardzo, bo miałem uczyć, a każą mi zajmować się harcerstwem. Usłyszałem, że rozmawiał przed chwilą z kolegą, zastępcą naczelnika aresztu śledczego. Szukają pilnie człowieka z wyższym wykształceniem pedagogicznym i uregulowanym stosunkiem do służby wojskowej. Dają znacznie lepsze pieniądze niż w szkole i szybko oferują mieszkanie. Jeśli chcę, może do niego zadzwonić i mnie umówić. Chciałem.



Aż do przejścia na emeryturę w 2019 r. Andrzej Flügel pracował jako dziennikarz sportowy w redakcji „Gazety Lubuskiej”

fot. Archiwum autora

Po godzinie rozmawiałem z naczelnikiem. Po raz pierwszy przekroczyłem bramę więzienia. Zastępca naczelnika od razu zastrzegł, że o ile zostaną przyjęty, będę musiał się ostrzyć, bo to służba mundurowa. Jednak to, co po chwili usłyszałem,

że po roku, może półtora, otrzymam mieszkanie w rodzinnym mieście, sprawiło, że zdecydowałem się nie tylko ostrzyć, ale też włączyć w mundur.

Pierwszego dnia pracy po mówce, jaką palnął mi naczelnik i kierownik penitencjarny, odesłano mnie na wartownię. Tam pokazano krzesło, dano w rękę regulaminy i kazano je studiować. Napisane były idiotycznym językiem, więc udawałem, że czytam i cały czas obserwowałem, co dzieje się w wartowni. A tam panował ruch jak na dworcu. Co chwilę szczękały kraty, a po każdym trzaśnięciu dowódca zmiany ryczał: – Nie trzaskaj, kurwa, drzwiami! W domu se trzaskaj! Pierwszego dnia oglądali mnie, cywila, niczym małpę. Coś tam do mnie klawisze zagadywali, ale tylko tak zdawkowo. W sumie nikt się mną nie interesował.

Drugiego dnia dowódca zmiany, kapitan o ksywie „Młot”, chłop prawie dwumetrowy, wypytał, skąd jestem i czemu wpadłem na pomysł pracy w kryminale. Kiedy usłyszał, że dostałem dwa tysiące więcej niż w szkole i w ciągu roku obiecano mi mieszkanie, mruknął, że rozumie, ale zna ciekawsze miejsca dla młodych, wykształconych gości. Po chwili powiedział: – Chodź pan, zobaczysz pan kawałek życia więziennego.

Zaprowadził mnie na pierwszy oddział. Wrażenie było tragiczne. Przytłumione światło żarówek, buro-zielone lamperie na ścianach. Oddziałowy w stopniu sierżanta miał czerwoną gębę i wyglądał jakby dopiero co wyszedł z jakiejś balangi. Kiedy usłyszał, że ma do czynienia z nowym wychowawcą, świeżo upieczonym magistrem, rzucił:

– Po chuj tu wychowawcy i to jeszcze magistrowie? Złodziei trzeba tylko trzymać krótko. Ja też stosuję metody wychowawcze. Jak ktoś nie rozumie, dostaje kluczem w dupę. Wie pan, jak to boli?

„Młot” go oczywiście strofował, ale widać było, że pierwszy kontakt nowego z oddziałowym, jak się później okazało, jednym z największych brutalni wśród klawiszy, sprawia mu radość.

– Dobra, Kaziu, nie gadaj panu głupot, tylko otwieraj „pasy” – powiedział.

Weszliśmy do celi, która miała jeszcze wewnętrzną kratę. W środku było tylko drewniane łóżko, na nim leżał facet. Nogi i ręce miał spięte pasami, a dodatkowy trzeci opasywał mu klatkę piersiową.

– Kurwa, wypuście mnie stąd, skurwysyny! – ryknął na widok klawiszy.

– Spokojnie, Stasiu – odpowiedział dowódca. – Odepnijmy cię, jak się uspokoisz.

– Jestem, kurwa, spokojny! – ryknął facet. – Zostałem pobity, kiedy mnie spinali. To możecie robić, ale po co dostałem kilka razy w mordę?

– Zgłaszacie pobicie? Macie prawo, ale musicie mieć obdukcję. Macie? Nie macie. Więc szkoda czasu na skargi. Wyjdiesz, jak się uspokoisz – spokojnym tonem tłumaczył „Młot”.

– Jak mam mieć, kurwa, obdukcję, kiedy jestem tutaj spięty jak baleron.

– Stasiu, tu jest nowy pan wychowawca, wzmacniamy się fachowymi siłami – ironizował „Młot”. – Uspokoisz się. Wrócisz pod celę, pogadasz z wychowawcą i będzie dobrze.

Stasiu tak jak był zagotowany, tak nagle zgasał.

– Pierdole was wszystkich! Wypuście mnie! Nie będę już dymił.

– Dobrze, widzisz, że z nami trzeba tylko po dobroci. Prawda, panie oddziałowy?

– Jasne, szefie.

I zarechotali obaj.

– A wie pan, jak ten gość się nazywa? – zapytał dowódca na korytarzu. I szybko odpowiedział: – Stanisław Spętany. Ale jaja, co? Nazwisko adekwatne do sytuacji. Rzeczywiście jest spętany. To co, zwiedzamy dalej czy ma pan dosyć i wracamy na wartownię?

– Zwiedzamy – odpowiedziałem, choć uciekłbym stamtąd jak najszybciej.

To, co zobaczyłem, spowodowało, że najchętniej dałbym sobie spokój z tą pracą. Szliśmy do góry, słychać było szczykanie krat, trzaskanie drzwi. Na schodach minęła nas grupa ludzi w szarych ubrankach prowadzona przez mundurowego.

– Złodzieje idą po obiad – objaśnił „Młot”. – Każdy tutaj czy skazany, czy tymczasowo aresztowany, nazywany jest przez nas złodziejem. Obojętnie od tego za co został skazany. Za to oni nazywają nas klawiszami też obojętnie od tego, czy jesteś strażnikiem, naczelnikiem czy wychowawcą. Tak więc wlażesz pan w grono klawiszy, he, he.

Drugi oddział wyglądał nieco lepiej. Było trochę jaśniej niż na dole, oddziałowy miał też jakąś przyjemniejszą gębę. Na ścianach wisiały jakieś gazetki i hasła o tym, czym jest resocjalizacja. Okazało się, że to oddział pracujących skazanych. Na końcu korytarza było ambulatorium. „Młot” hukliwie przedstawił dwóm pielęgniarkom „nową siłę pedagogiczną naszego pierdła”.

Na trzeci oddział weszliśmy, kiedy wydawano obiad. Po raz pierwszy widziałem, jak to wygląda. Czterech więźniów w białych kitlach, prowadzonych przez oddziałowego, targało wielki kocioł z zupą. Po otwarciu celi jej mieszkańcy podchodzili z metalowymi miskami, dostawali porcję i odchodzili w głąb pomieszczenia.

– Dziś tylko litraż i to w dodatku zupa z Krzywańca – powiedział oddziałowy, kiedy „Młot” go przedstawił. – Czyli barszcz – wyjaśnił kapitan.

Dwa kolejne oddziały były niemal bliźniaczo podobne. Schodziliśmy na dół innymi schodami położonymi z tyłu budynku. Na każdym piętrze były metalowe drzwi prowadzące na oddział. Zainteresowały mnie inne drzwi na trzecim i piątym piętrze.

– To pokoje przesłuchań – objaśnił kapitan. Na pytanie: czemu ta klatka schodowa jest taka szeroka, odpowiedział: – Po to, żeby atanda mogła spokojnie zjeżdżać w dół. – Nie chciał wyjaśnić, co to jest atanda. Wyszczerył zęby, po czym powiedział: – To sposób na tych, co nie słuchają wychowawców.

Przez lata zetknąłem się z najróżniejszymi typami ludzi, myślę tu zarówno o skazanych, jak i o funkcjonariuszach. Z tych pierwszych miałem do czynienia z całą gamą, od analfabety, którego iloraz inteligencji był na progu upośledzenia umysłowego, po wyjątkowych bystrzaków z ilorazem znacznie wyższym do przeciętnej. Podobnie było z profesjami. Na jednej szali byli ludzie wykonujący najprostsze prace, na drugiej profesorowie, oficerowie, dyrektorzy, a nawet wiceminister. Z wszystkimi trzeba było jakoś rozmawiać, próbować do nich dotrzeć, jakoś im pomóc. Największy problem był z tymi stojącymi na najniższym stopniu drabiny i, co paradoksalne, z niektórymi najbardziej wykształconymi. Ci najślabi, niektórzy niemal analfabeci (podobno w PRL od połowy lat 70. wszyscy już umieli pisać i czytać), od razu po trafieniu do celi

mogli stać się obiektem drwin, żartów, a od tego już jest mały krok do znęcania się. Czasem zastanawiałem się, jak prokurator może zamykać w areszcie człowieka niemal upośledzonego, który w rozmowie nie potrafi sklecić dwóch sensownych zdań i zdaje się być kimś o umysłowości kilkuletniego dziecka. Jak prokurator odebrał od niego zeznania, skoro gość nie potrafi odpowiadać na normalne pytania? Dziwiłem się, czytając zarzut takiego osobnika: „Wspólnie i w porozumieniu dokonał włamania do sklepu spożywczego, skąd skradł...”. Czy człowiek, z którym rozmawiałem w więzieniu, był w stanie z kimkolwiek sensownie się porozumieć?

Można sobie wyobrazić, jak gość, który z trudem funkcjonował na wolności, będzie wyglądał za kratami. Prokurator go aresztował, a my musieliśmy się z kimś takim męczyć, chronić go i pilnować. Najgorsze, że moi szefowie zamiast twardo, urzędowo zawiadamiać prokuratora czy sąd, że taki człowiek powinien znaleźć się w zakładzie psychiatrycznym, a nie w areszcie (obawa przed uznaniem, że służba nie może sobie poradzić?) nie interweniowali, każąc nam postępować z ludźmi chorymi jak ze zdrowymi.

Na drugim biegunie byli tak zwani normalni ludzie, którzy jeszcze dzień wcześniej żyli w swoim środowisku, dobrze funkcjonowali i nagle znaleźli się za kratami. Pamiętam przypadek kierowcy tira, który na ruchliwej ulicy zapatrzył się na coś i na przejściu dla pieszych staranował kobietę z wózkiem, zabijając ją na miejscu i jej kilkumiesięczne dziecko. Prokurator postanowił go aresztować (do dziś uważam, że zamykanie kierowców, sprawców wypadków, o ile nie byli pijani albo po zażyciu narkotyków, jest niepotrzebne). Facet wyglądał tak, jakby walnął go młot parowy. Trząśnięty, z trudem odpowiadał na pytania płakał. Jak rozmawiać z takim człowiekiem? Co mu mówić? To były bardzo trudne momenty. Co innego gadka z włamywaczem, recydywistą, dla którego to kolejny pobyt w pierdлу, co innego w obliczu ludzkiej tragedii. Cóż mi zostało? Pocieszenie go, że pewnie szybko wyjdzie, bo przecież adwokat napisze zażalenie na aresztowanie, przekazanie kilku spraw regulaminowych itd. Wobec kogoś takiego nawet nie można mówić o resocjalizacji, bo nie ma takiej potrzeby.

Obok ludzi mających wielkie problemy z adaptacją, takimi, którzy trafili do aresztu przez przypadek, kłopoty mieli wykształceni, stojący na wolności najwyżej w hierarchii. Ci, być może, skoro mieli udział w jakichś aferach, pewnie zakładali, że mogą trafić za kraty. Kiedy się już tam znaleźli, ciągle zdawało mi się, że są w swojej firmie i nadal mogą zachowywać się jak dyrektorzy i prezesi. Trafiali w celi na kogoś, kto wcześniej nie miałby nadziei dotrzeć do ich gabinetu i był bez szans na rozmowę z nimi. Dziś taki człowiek stał wyżej w hierarchii więziennej i mógł powiedzieć:

– Te, profesor. Ja tu rządzę i decyduję. Zapamiętaj to sobie.

Taki zjazd w dół dla nich był bolesny. Kto z nich nie umiał tutaj się ustawić, miał przerąbane.

Klawisze – tu też był piękny przekrój. Od prymitywnych gości, którzy nie potrafili napisać jednego słowa bez zrobienia błędu ortograficznego, którzy bez najmniejszej refleksji wykonałoby każde, nawet bardzo dziwne polecenie władzy, przez fajnych gości, z którymi dobrze się pracowało, do ludzi inteligentnych, z którymi można było pogadać o wszystkim i fajnie było się kontaktować nie tylko w pracy.

Od redakcji: Jest to fragment książki przygotowywanej do druku.

Klem

Nazywał się Klemens Felchnerowski (ur. 1928 w Toruniu, zm. 1980 w Zielonej Górze). Swoje obrazy podpisywał: Klem i tak też zwracali się do niego znajomi. Do Zielonej Góry przyjechał w 1953, rok po studiach malarskich i konserwatorskich. Był pierwszym wojewódzkim konserwatorem zabytków, później dyrektorem Muzeum Okręgowego. W historii miasta pozostał jako artysta malarz. Prezentowane niżej prace pochodzą z kolekcji Muzeum Ziemi Lubuskiej.



Klem Felchnerowski, Obraz G_62, 1962



Klem Felchnerowski, Układ 1-74, 1974



Klem Felchnerowski, Po co (Układ IX-75), 1975-76



Klem Felchnerowski, Panorama Zielonej Góry, 1978-1979

Z kroniki

Na listopadowej sesji sejmiku lubuskiego prezes Towarzystwa Miłośników Zielonej Góry „Winnica” Ryszard Błażyński otrzymał Odznakę za Zasługi dla Województwa Lubuskiego. Jak podano na stronie www.lubuskie.pl „Ryszard Błażyński jest popularyzatorem książki, kultury i sztuki w województwie lubuskim, prowadził Dom Książki w Zielonej Górze, był dyrektorem Klubu Międzynarodowej Prasy i Książki w Zielonej Górze, dyrektorem Oficyny Wydawniczej Uniwersytetu Zielonogórskiego i sekretarzem Rady Wydawniczej UZ. Inicjator Międzynarodowego Konkursu na Rysunek Satyryczny, juror w konkursach rysunkowych w kraju i za granicą. Założyciel Lubuskiej Oficyny Wydawniczej, Lubuskiego Stowarzyszenia Miłośników Działań Kulturalnych »Debiut« i Towarzystwa Miłośników Zielonej Góry »Winnica«. Przez cały okres pracy zawodowej i społecznej Ryszarda Błażyńskiego ukazało się ok. 500 publikacji, odbyło się kilkadziesiąt wystaw plastycznych i kilkanaście edycji konkursu na rysunek satyryczny”.



Marszałek województwa Elżbieta Polak składa gratulacje Ryszardowi Błażyńskiemu

fot. www.lubuskie.pl

Nagrody Kulturalne prezydenta Zielonej Góry otrzymali członkowie TMZG „W”: Władysław Klepka i Alfred Siatecki. Podczas spotkania z okazji 50-lecia debiutu literackiego prezydent Janusz Kubicki wręczył A. Siateckiemu Złoty Medal „jako wyraz uznania za osiągnięcia mające znaczenie dla Miasta Zielona Góra”. Taki sam medal otrzymał prof. dr hab. Wiesław Hładkiewicz podczas benefisu z okazji 45-lecia pracy naukowej w Zielonej Górze.

W 1922 r. grünberczycy świętowali 700-lecie Winnego Grodu. Wtedy ukazała się obszerna historia miasta pióra Hugona Schmidta. Na przypadające w 2022 r. 800-lecie Zielonej Góry nasze stowarzyszenie postanowiło przygotować encyklopedię miasta w wersji papierowej i elektronicznej. Praca ma zawierać około 3 tys. haseł. Ich autorami będą pracownicy naukowcy Uniwersytetu Zielonogórskiego, Archiwum Państwowego, instytucji kultury i edukacji oraz miłośnicy Zielonej Góry. Zespołem autorów i redaktorów kieruje dr hab. Ryszard Zaradny, wiceprezes TMZG „W”.

„Przygoda z muzyką”

Serdecznie dziękuję za otrzymane archiwalne egzemplarze pisma „Na Winnicy” nr 2 z 2017 r. i nr 3 z 2018. Byłem zainteresowany wspomnieniami mojego kolegi Ryszarda Łomskiego na temat muzyki big beatowej w Zielonej Górze w latach 60. i 70. ub. wieku, które to wspomnienia spisała ani Małgorzata Ziemska. W materiale tym zamieszczono fotografię pierwszego składu zespołu Jolanie („NW” 2/2017), gdzie całkowicie błędnie są podpisy pod nią. Zdjęcie to było wykonane we wrocławskim hotelu po jednym z naszych koncertów. Stoimy na schodach od lewej: Bogdan Springer, Ryszard Łomski, Tadeusz Sroczyński, Włodzimierz Żurawski i Emil Czerniwczan.

Błędnie też opisano, że jest to zespół Świstaki – to już byli Jolanie w pierwszym, amatorskim najlepszym składzie. Zespół ten zawiązał się na jednym z wieczorków tanecznych, gdzie przygrywali Świstaki, kiedy to dziewczyny z „ogólniaka” przy Chopina zapraszały chłopców z „elektryka”. Właśnie tam wspólnie z kilkoma członkami tego zespołu my – Włodek Żurawski i ja (obaj z elektryka, ale także absolwenci szkoły muzycznej w klasie skrzypiec) wspólnie zagraliśmy kilka utworów ku aplauzie zgromadzonych. Potem już były występy, koncerty w Hali Ludowej, zwłaszcza jeden, kiedy z zespołem konkurencyjnym Lubusze po solowych występach, razem w składzie dwóch grup wykonaliśmy jeden wspólnie utwór muzyczny. To był szok! Hala Ludowa pękła w szwach i mało się nie rozpadła. Miałem jeszcze kilka razy zaszczyt koncertować w składzie Jolan, lecz powoli moje zainteresowania muzyczne skłaniały się w stronę spokojnej piosenki autorskiej, literackiej, ballady. Na początku fascynowałem się piosenką francuską, także Włodzimierzem Wysockim, Bułatem Okudźawą, Ewą Demarczyk, Bobem Dylanem, Leszkiem Długoszem i Markiem Grechutą, którego miałem zaszczyt poznać na Festiwalu Piosenki Studenckiej (razem ze Zbyszkim Adamczakiem byliśmy pierwszymi uczestnikami zielonogórskiego środowiska akademickiego na tym festiwalu), a potem na specjalnym kilkudniowym letnim obozie artystycznym w Łagowie. Tam razem z Grzesiem Chwalibogiem i kilkoma innymi kolegami z ZSP odpowiedzialniśmy logistycznie za organizację imprez. Wspomnę, że byli tam: Magda Umer, Elżbieta Jodłowska, kabaret Stodoła z Warszawy, zespół Anawa z Krakowa, koledzy z kabaretu Elita z Wrocławia, znakomite duo gitarowe Alber-Strobel, którzy codziennie po zmierzchu koncertowali na pomoście, a my otuleni w koce upajaliśmy się tą muzyką często do białego świtu.

To był piękny okres młodości, gdzie zarówno w zespole Jolanie, a także później miałem przyjemność stykać się z prawdziwą, dobrą muzyką.

Bogdan Jan Springer

„Kontrowersje wokół ulic”

Przede wszystkim pragnę podziękować Panu Eugeniuszowi za list („NW” nr 6), dawno nikt mnie tak nie rozbawił, uśmiełem się prawie do łez. Otóż osoby, które mnie znają jako profesora akademickiego doskonale wiedzą, jaki mam stosunek do tzw. żołnierzy wyklętych, i nie należy on do najbardziej pochlebnych, więc obdarzanie mnie takim epitetem to mniej więcej tyle samo co zarzucanie Hitlerowi komunizmu. Ale ad rem. Gdyby Pan Eugeniusz przypomniał sobie umiejętność czytania między wierszami, zapewne nie musiałby wysłać listu do redakcji. Skoro jednak wyszedł z wprawy w tej cennej umiejętności, spieszę wyjaśnić już tym razem „jak krowie na rowie”, co chciałem przekazać w moim przyczynku. Jestem przeciwnikiem ustawy dekomunizacyjnej. Jeśli o mnie chodzi ulica Pod Filarami mogłaby się dalej nazywać Karola Marksa i wcale by mi to nie przeszkadzało. Uważam, że pomniki i ulice są świadectwem swoich czasów, powinny zatem zachować się w takim kształcie i treściach, jakimi były zakładane i nazywane. Uważam natomiast, że jak się mówi „A”, to powinno się powiedzieć „B”. Skoro już podjęto takie kroki, to trzeba sprawę doprowadzić do końca i nie może być mowy o takich relikwach jak ulica Anieli Krzywoń (która, Panie Eugeniuszu, wcale mi nie przeszkadza, tak dla jasności). Dywagacje na temat alei Zjednoczenia i ulicy Jedności były pewnego rodzaju kpinką i prowokacją stylistyczną, niestety Pan tego nie zrozumiał ani nie zauważył. Ergo, jestem przeciwnikiem dekomunizacji ulic, ale zwolennikiem konsekwencji wprowadzanych reform, jeśli już coś robić, to dobrze i do końca.

Radosław Domke

Magazyn papierowy i elektroniczny

Czytelnicy pytają, gdzie można kupić magazyn „Na Winnicy”. Wyjaśniamy, że nie prowadzimy sprzedaży. Nasze czasopismo w wersji papierowej dociera do członków stowarzyszenia, otrzymują je radni, historycy, dziennikarze i publicyści, osoby zaprzyjaźnione i zainteresowane tak przeszłością, jak i współczesnością Zielonej Góry. Egzemplarze archiwalne znajdują się w dziale informacji regionalnej i bibliograficznej Biblioteki Norwida przy al. Wojska Polskiego 9 (parter). Wszystkie numery „NW” w kolorowej wersji elektronicznej można pobrać bezpłatnie ze strony www.tmzg.org.pl

Podobnie sprawa się ma, jeżeli chodzi o książki wydawane przez nasze stowarzyszenie. Staramy się, aby wszystkie tytuły trafiły do bibliotek szkolnych i publicznych w Zielonej Górze. Egzemplarzami autorskimi dysponują twórcy.

W Palmiarni

fot. Alicja Błażyńska

Zielonogórska Palmiarnia jest jedną z najmłodszych tego typu budowli w Polsce. Jej bazą stał się zbudowany w 1818 r. przez Augusta Gremplera domek winiarski usytuowany w centralnej części Winnego Wzgórza. 139 lat później powstała myśl, by dodać do niego szklane pawilony i posadzić wewnątrz egzotyczne rośliny. Przyrost zieleni spowodował w olejnych dekadach konieczność rozbudowy. Ostatnia modernizacja obiektu rozpoczęła się w 2006 r., kiedy to daktylowiec kanaryjski – jeden z najciekawszych okazów w Palmiarni – przebił sufit. W wyniku przebudowy oprócz funkcjonującej wcześniej restauracji pojawiły się nowe przestrzenie służące gościom: antresola z kawiarnią i na kolejnym poziomie (18 metrów nad ziemią) kładki spacerowe z tarasem widokowym. W Palmiarni jest posadzonych około 120 gatunków roślin tropikalnych, w ogromnych akwariach pływają egzotyczne ryby, a w terrariach można obserwować żółwie.



Laureaci Nagrody Nobla z lubuską metryką

Dotąd z regionem lubuskim byli związani czterej laureaci Nagrody Nobla: dwaj tu się urodzili, jeden przebywał w obozie i jeden tu zmarł. Wszyscy byli pochodzenia niemieckiego. Od października 2019 r. jest pięcioro „tutejszych” noblistów. Do czwórki Niemców z urodzenia dołączyła Polka Olga Tokarczuk.

Olga Tokarczuk urodziła się 29 stycznia 1962 r. w Sulechowie, a wychowała się w Klenicy, gdzie jej rodzice pracowali jako wykładowcy w Lubuskim Uniwersytecie Ludowym. Ukończyła studia z zakresu psychologii na Uniwersytecie Warszawskim. Debiutowała w 1979 r. opowiadaniem na łamach tygodnika „Na przełaj” jako Natasza Borodin. W 1993 r. wydawnictwo Przedświt wydało jej debiutancką powieść „Podróż ludzi Księgi”. Do najbardziej znanych książek noblistki należą: „Prawiek i inne czasy”, „Bieguni”, „Prowadź swój pług przez kości umarłych”, „Księgi Jakubowe”. Książki O. Tokarczuk zostały przełożone na 37 języków, między innymi na chiński, grecki, hindi, koreański, kataloński, macedoński, turecki, wietnamski, japoński. W 2019 otrzymała Nagrodę Nobla w dziedzinie literatury za 2018 r. Komisja zaznaczyła, że jest to nagroda za wyobraźnię narracyjną, która z encyklopedyczną pasją reprezentuje przekraczanie granic jako formy życia. Pisarka otrzymała także wiele innych cenionych nagród, między innymi Paszport „Polityki”, dwukrotnie Nike, The Man Booker International Prize. W 2019 r. otrzymała tytuł Honorowy Obywatel Województwa Lubuskiego i odznakę honorową Zasłużony dla Powiatu Zielonogórskiego. Mieszka we Wrocławiu i w Krajanowie koło Nowej Rudy.

Günter Blobel urodził się 21 maja 1936 r. w Waltersdorf (Niegosławice w powiecie żagańskim), zmarł 18 lutego 2018 w Nowym Jorku. To amerykański biolog niemieckiego pochodzenia. Po II wojnie mieszkał w Dreźnie. Studiował medycynę w Tybindze. W 1960 r. wyjechał do USA, gdzie został profesorem Uniwersytetu Rockefellera w Nowym Jorku. Prowadził badania nad transportem cząsteczek białek przez błony wewnątrzkomórkowe. W 1999 r. otrzymał Nagrodę Nobla za badania nad mechanizmem i identyfikacją wewnętrznych sygnałów kierujących transportem i lokalizacją białek

w komórkach. W 2001 r. podczas odwiedzin Niegosławic otrzymał honorowe obywatelstwo gminy.

Gerhard Domagk urodził się 30 października 1895 w Lagow (Łagów w powiecie świebodzińskim), zmarł 24 kwietnia 1964 r. w Burgberg w Schwarzwaldzie. W latach 1901-1909 mieszkał w Sommerfeld (Lubsko). Studiował medycynę na uniwersytecie w Kilonii. W czasie I wojny światowej początkowo walczył w formacjach bojowych, a następnie pracował w szpitalach na terenie Rosji. Od 1928 r. był profesorem na uniwersytecie w Münster, gdzie prowadził badania nad fagocytami. W 1935 r. ogłosił, że czerwono-pomarańczowy barwnik z grupy sulfonamidów zwany prontosilem skutecznie zwalcza infekcje powodowane przez paciorkowce. Za to odkrycie w 1939 r. otrzymał Nagrodę Nobla w dziedzinie medycyny. Wówczas nie mógł jej przyjąć ze względu na naciski władz niemieckich, pozostających w konflikcie z komisją noblowską po przyznaniu Pokojowej Nagrody Nobla Carlowi von Ossietzky'emu. Odebrał ją w 1947 r.

W Zibelle (Niwica na ziemi żarskiej) zmarł Walter Nernst (1864-1941) r. Nagrodę Nobla otrzymał w 1920 r. z chemii za osiągnięcia w badaniach nad termodynamiką i za teorię roztworów. W 1949 r. jego prochy zostały przeniesione do Getyngi. Carl von Ossietzky (1889-1938) był dziennikarzem więzionym w obozie koncentracyjnym Sonnenburg (Słońsk) koło Kostrzyna w 1933 r. W 1935 r. otrzymał Pokojową Nagrodę Nobla, ale jej nie odebrał, gdyż władze



Olga Tokarczuk kilka razy spotkała się z zielonogórskimi czytelnikami. Ostatni raz była w Winnym Grodzie w 2017 r. fot. Aneta Michałowska



Pamiątkowa tablica na budynku dawnej poczty w Niegosławicach 190, gdzie urodził się Guenter Blobel fot. Daniel Jung



Na budynku przy ul. Tadeusza Kościuszki, gdzie latem znajduje się Punkt Informacji Turystycznej wisi tablica, informująca o tym, że w Łagowie urodził się Gerhard Domagk fot. Daniel Jung

niemieckie na to mu nie zezwoliły. Zmarł w szpitalu więziennym.

AS